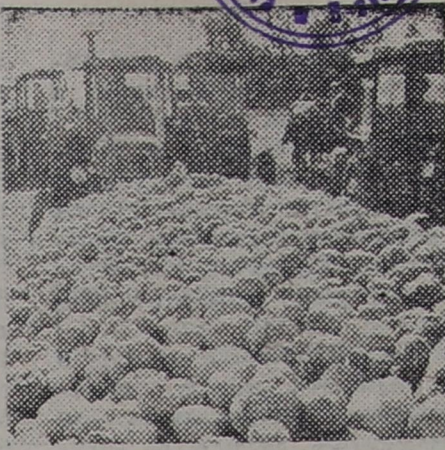




4
odgłosy



5
sierpień
długi
jak rok



7
szkoła
oszustów



11
nietakty
i swawole

14
miłoszowa-
nie
polemiki

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

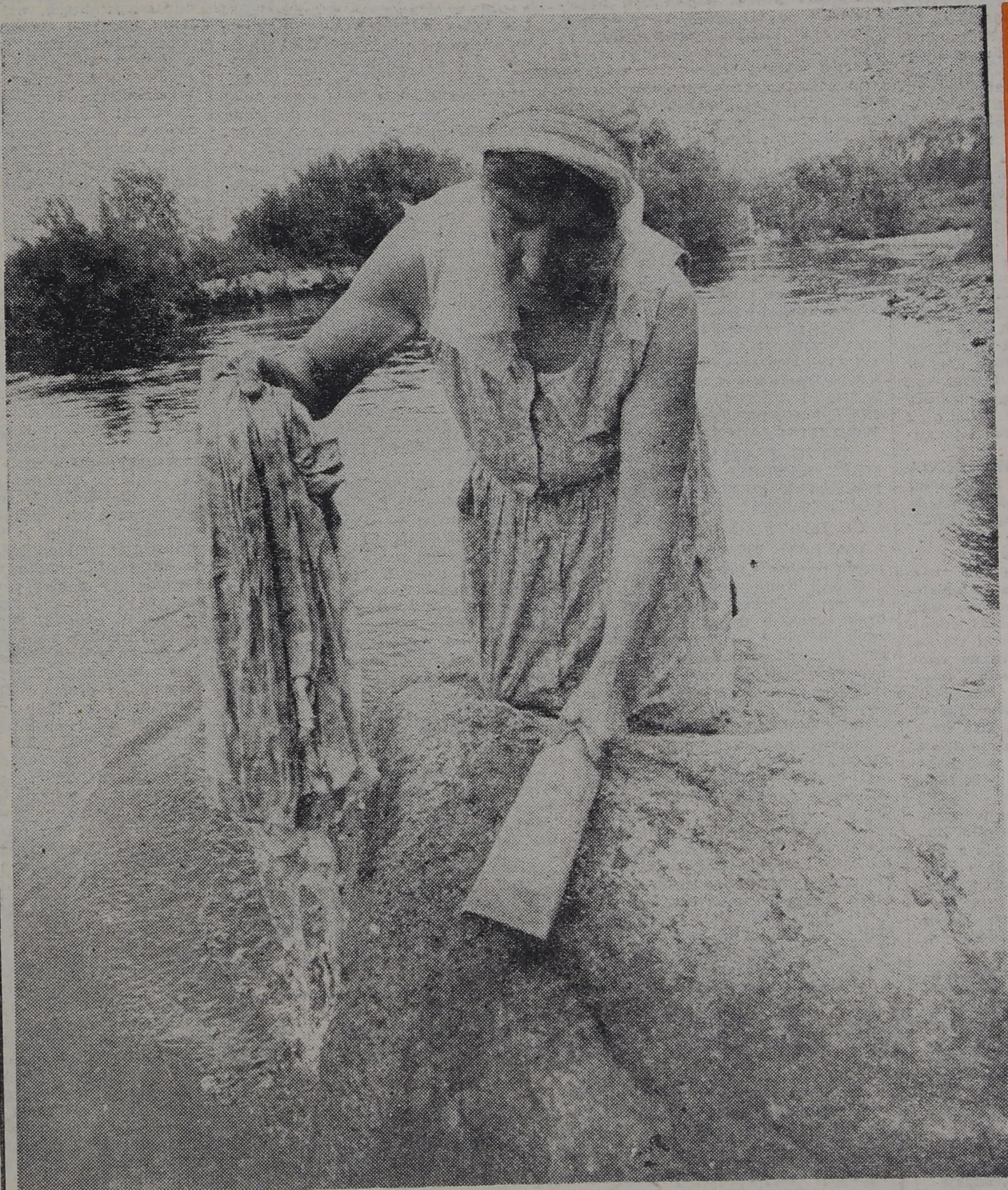
35

(62)

KONTAKTY

6.IX.1981

Cena 6 zł



z cyklu: szanujmy wiedzę przodków

Fot. Gabor Lőrinczy

NIE DAJMY SIĘ BIEDZIE

taniec niemocy

Ekspedientka Wiejskiego Domu Towarowego w Łomży przekonuje klientów: „Póki jest chleb — biedy nie ma!”. Ta sama pani, osoba (optycznie) w średnim wieku, dorzuca pytanie: „Co to dalej będzie?”. I uzupełnia je zwiezieniem: „Po nocach śni mi się krew”.

Niespokojne, koszmarnie wręcz bywają teraz nasze senne widziadła, bo i coraz niespokojniejsza, coraz bardziej dramatyczna staje się sytuacja społeczna i gospodarcza. Widoku pustych półek sklepowych nie zneutralizuje poczucie „złotej wolności” czy powszechna dostępność odwagi, głoszenie czegokolwiek i przeciw komukolwiek. Kiedy można powiedzieć wszystko, lepiej trochę pomilczeć, by doszły do głosu myśli. Aby dostatek słów nie stał się naszym jedynym dostatkami.

zejście ze sceny

ALICJA BASTA

Mieszkanie było wspaniałe, ponad stumetrowe. Na podłodze i nielicznych sprzętach pokoju wychodzącego na taras, ciągnący się wzdłuż zachodniej ściany budynku, małżonek ustawił na przyjęcie oblubienicy pęki bżów. Przez dziurę w suficie wesoło mrugały gwiazdy, a w krzaku jaśminu przy tarasie zachłystywały się trelami słowiki.

Przedtem jednak była wędrówka od dworca. Na najbliższym skrzyżowaniu trzeba było skrócić między zwalą gruzów i wypalone oczy domów, przeciskać obok nie rozebranych jeszcze barykad i bram broniących dostępu do pustki. Poskrzypywały furtki kołysane wiatrem, zza żelaznych ogrodzeń drzewa wyciągały osmalone kikuty. Nad ziemią unosił się swąd, jakby pożar ciągle jeszcze tlił się gdzieś we wnętrzu miasta.

Takie były jej wrażenia z ich pierwszego wspólnego dnia we Wrocławiu. Ślub wzięli w styczniowy ostry dzień w neklańskim kościółku na Kielecczyźnie, w asyście całej wsi, w takt melodii wiejskiej orkiestry. Po ślubie pan młody wyjechał sam do Wrocławia, bo świeżo poślubiona małżonka nie wyobrażała sobie, że mogłaby zostawić siódmą klasę w połowie roku szkolnego. Dopiero gdy umieściła wszystkich uczniów w szkołach średnich, wtedy udała się na stałe do męża.

Wrocław wybrał sam spośród innych miast możliwych do wybrania. On przyjechał studiować chemię na Politechnice. Powinien był czuć się tu bardziej obco. Jeszcze brzmiała mu w uszach historia jego rodu, usłyszana w najbardziej niespodziewanych okolicznościach. „Harasimowicz się nazywasz, powiadasz, z Równego? — pytał stary szlachcic zagony, który zdecydował się przerwać niechęć wsi wobec posterunku pilnującego mostu kolejowego na trasie Białystok—Warszawa — to ty musisz być synem Józefa, syna Rafała. Toż twój pradziad w powstaniu styczniowym zginął, a jego brat na Syberię był zesłany. To jak ty, synu, komunistą możesz być?” „Jestem tylko akowcem — odpowiadał młody — nasz oddział został skierowany do ochrony kolei, bo ktoś jej musi bronić. Wojna jeszcze się nie skończyła”.

CIĄG DALSZY NA STR. 6-7

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9



NARASTA KONFLIKT społeczny w Ciechanowcu. Wiosną 1979 r. redakcja tygodnika „Fundamenty” zaproponowała władzom miasta i gminy budowę domu jednorodzinnego wg typowej, dostarczonej przez czasopismo, dokumentacji — z założeniem, aby różnymi sposobami obniżyć koszty w stosunku do ustaleń projektu. Owcześnie naczelnik propozycję chętnie przyjął, chociaż z trudem znalazł człowieka do zorganizowania i przeprowadzenia budowy, któremu zlecił nadzorowanie inwestycji, zapewniając jednocześnie, iż po jej zakończeniu będzie mógł tam mieszkać z rodziną jako najemca lokalu. Amator budowy, Czesław Poniatowski, dom postawił za 600 tysięcy (kosztorys wstępny opiewał na 1200 tysięcy złotych). W międzyczasie naczelnik odszedł z urzędu i znalazł się inny chętny do zajęcia domku. Okazał się nim dr medycyny Zdzisław Błaszkiwicz, ordynator Oddziału Położniczo-Ginekologicznego Szpitala Rejonowego w Ciechanowcu. W piśmie do wicewojewody Kazimierza Clapki zwrócił się o przydzielenie mu mieszkania w domku, wyrażając ochotę na jego kupno. Wicewojewoda decyzję naczelnika o przydziale lokalu Poniatowskiemu anulował i poparł podanie Błaszkiwicza, który — notabene — dostał już od państwa jeden dom w Ciechanowcu. Za Błaszkiwiczem jest wojewoda i I sekretarz KGM PZPR w Ciechanowcu; za Poniatowskim — prezydium Rady Narodowej, autonomiczne związki zawodowe, NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych i Miejsko-Gminny Komitet ZSL-u.

Z WIZYTĄ W ŁOMŻY przebywał Prokurator Generalny PRL, doc. dr hab. Lucjan Czubiński. Oceniał on pozytywnie działanie prokuratury wojewódzkiej, zwłaszcza walkę z przestępczością gospodarczą i spekulacją.

Z PROPOZYCJĄ UTWORZENIA w Łomży Młodzieżowej Spółdzielni Pracy Nakładczej wystąpił do władz wojewódzkich Zarząd Miejski ZSMP. Według jego koncepcji — zakład taki umożliwiłby kobietom pracę w domu, a jednocześnie opiekę nad dziećmi, odciążając tym samym żłobki i przedszkola. Wicewojewoda łomżyński Wacław Redliński odpowiedział: „nie” — i powołał się na same kłopoty: brak lokalu na rozdzielnię, magazyn i krawalnię, brak materiałów, maszyn itp. Na „tak” wicewojewoda argumentów raczej nie szukał. ZM ZSMP uparcie broni swojej inicjatywę i zwraca się do zainteresowanych o przysłanie swoich zgłoszeń (Zarząd Miejski ZSMP, ul. Senatorska 50, 18-400 Łomża). W bieżącym roku w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Narew” korzysta z urlopów macierzyńskich ponad 400 kobiet. Młodzieżowa Spółdzielnia Pracy Nakładczej jest więc tym bardziej potrzebna, gdyż weszła już w życie ustawa o zasiłkach rodzinnych dla kobiet pracujących.

GRN W JEDWABNEM podjęła uchwałę o tymczasowym ograniczeniu sprzedaży węgla do 2,5 tony na gospodarstwo (do trzech, jeżeli jest w nim centralne ogrzewanie). Dodatkowa tona przysługuje tym, którzy oddali na skup ponad 30 tuczników. Zlikwidowano też tzw. stare kwity, zwracając wcześniej wpłacone pieniądze.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI dr Witolda Prusińskiego w bloku operacyjnym Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Łomży została odsłonięta tablica poświęcona jego pamięci. Uczestnik uroczystości, nestor chirurgów regionu białostockiego, doc. dr med. Adam Dowgird, powiedział m.in.: „Jestem szczęśliwy, że doczekałem chwili upamiętnienia postaci jednego z najbardziej zasłużonych chirurgów”.

W MUZEUM ROLNICTWA w Ciechanowcu po raz dziewiąty pracował obóz studencki Koła Naukowego Ekonomistów Rolnych z Wydziału Ekonomiczno-Rolnego SGGW AR w Warszawie. Studenci badali gospodarstwa osiągające wyniki niższe od średnich w gminie i analizowali sprawy obrotu ziemią. Rezultaty badań zostaną udostępnione

wszystkim zainteresowanym pod koniec tego roku. Od lat korzysta z nich miejscowa służba rolna.

PUNKT SKUPU MLEKA w Kurpikach (gmina Zawady) zajął trzecie miejsce w kraju w konkursie na najlepszą placówkę tego typu. Sukces jest zasługą Tadeusza Czerwińskiego, prowadzącego punkt od 1965 roku.

KRYSTYNA PROŃKO, ostatnio uznana za najlepszą polską piosenkarkę jazzową, koncertowała w Łomży. Szczególnie gorąco oklaskiwano jej najnowsze piosenki i songi ze spektaklu muzycznego „Koleśda-nocka”.

Z WYJAŚNIENI Wydziału Handlu UW. MIĘSO. Ważność kartek sierpniowych zostaje przedłużona do końca września. Zmiany we wrześniowych dotyczą jedynie formalnych oznaczeń. MOSŁO. Nowe kartki, stare przydziały. WÓDKA. Rozważa się możliwość zmniejszenia ilości do jednej butelki. Zamiast półlitrowki można kupić kawę lub słodycze za 75 złotych. Łakocie często nie są wyszukane (landrynki, sucharki itp.), ale tylko w ten sposób można zapewnić pokrycie na wszystkie kartki. PAPIEROSY. Po podzieleniu ilości przeznaczonej na województwo przez ilość uprawnionych do otrzymania kartki okazało się, że wypada po 9 paczek papierosów krajowych i po 3 zagraniczne na osobę. Wydział Handlu zdecydował, że wszystkie one będą sprzedawane na kartki. Gdyby jednak nie spotkało się to ze społeczną aprobatą, jest gotów objąć reglamentacją jedynie papierosy krajowe, a zagraniczne przeznaczyć do wolnej sprzedaży, tak jak to jest w innych województwach. ŚRODKI PIORĄCE. Od września wprowadza się na nie kartki. Ze względu na opakowania — mogą być różne ilości w poszczególnych miastach. We wrześniu otrzymamy prawdopodobnie aż 500 gramów na jednego opieranego. Na głowę — na razie nie. Szamponów i mydeł nadal brak.

ZDANIE TYGODNIA: „HISTORIA NIE DAJE PREZENTÓW. WCZEŚNIEJ CZY PÓŹNIEJ, ALE NIEUCHRONNIE NAGRADZA ROZWAGĘ I PRACĘ. KARZE ŚLABOŚĆ I ROZPREŻENIE” (PREMIER WOJCIECH JARUZELSKI).

MYŚL Z ATESTEM: „ZNAJOMOŚĆ NATURY LUDZKIEJ TO POCZĄTEK I KONIEC EDUKACJI POLITYCZNEJ” (HENRY ADAMS).

CO DALEJ PO IX ZJEJEDZIE?

WACŁAW REDLIN, prezes Zarządu Wojewódzkiego Kółek i Organizacji Rolniczych: — Atmosfera nie jest najlepsza, a spowodował ją brak szybkiej decyzji ekonomicznych. Mówimy o reformie gospodarczej już rok. Wpadliśmy w skrajną demokrację. Każdy detal chcemy uzgadniać ze społeczeństwem. Propozycji jest nadmiar, a potrzebne są wymierne efekty. Popadliśmy w manię dyskusowania i chcemy nim zamknąć każdy, nawet najważniejszy, temat. Dyskutujemy wszędzie: w domu, na ulicy, w zakładzie, a sytuacja jest coraz gorsza. Mam też już dosyć dyskusji w telewizji. Musimy ruszyć skutecznie głowami i robić to, co jest możliwe do zrobienia w naszym województwie w dziedzinie poprawy wyżywienia.

JULIAN DĄBROWSKI, sekretarz POP w „Cepeli” w Zambrowie: — IX Zjazd wprawdzie nie rozczarował moich towarzyszy, ale wszyscy

czekają na efektywne działania. Sami, na naszym podwórku, uchwalamy konkretne zadania w końcu sierpnia, po urlopach. W naszych dyskusjach zdecydowanie dominują dwa tematy: ekonomiczny, tzn. ustabilizowanie rynku, i polityczny. Nie ma jednoznaczności w ocenie działań „Solidarności”. Obok entuzjastycznych zwolenników są i tacy, którzy odnoszą się z rezerwą lub bardzo krytycznie do tego Związku. Mówi się też, że niektórzy członkowie „Solidarności” myślą tylko o tym, żeby załatwić swoje prywatne sprawy. W moim zakładzie ludzie nie są za strajkami. Owszem, dyskutują bardzo ostro, ale przede wszystkim pracują. Widzę konieczność przypomnienia ludziom, że winą za stan kryzysowy nie możemy obarczać obecnego rządu, lecz są to efekty kilkuletniej nierozsądnej polityki gospodarczej poprzedniej ekipy. Trzeba to wreszcie zrozumieć, że naprawienie tych błędów, wyprowadzenie kraju z dna, potrwa dobrych kilka lat.

WŁADYSŁAW TARASIEWICZ, sekretarz POP w Zakładach Pięt Wiórowych w Grąjewie: — Przez rok żadnych konkretnych decyzji. Jedną drogą wzajemnie wyklucza. Weźmy chociażby papierosy: w jednym województwie wycina się trójkątki, w drugim — kwadraciki. I tak jedno województwo drugiemu wykupiło prawie wszystkie papierosy. Jak nie ma benzyny, to panowie ministrowie radzą, co zrobić, żeby przy okazji i życie zagmatwać. Więc ustalili: w parzyste dni będą tankować numery parzyste, a w nieparzyste — numery nieparzyste. A czy ich powinno obchodzić, kiedy ja mam jeździć? Mogliby powiedzieć: masz, chłopie, benzyny na trzysta kilometrów i twoja głowa, jak nią będziesz gospodarzyć. W dwóch kioskach Zakładów Pięt Wiórowych stoi na półkach tylko woda sodowa. Chyba dla parady mamy 49 województw. Toż to gra jak w totolotka: bądź mądry i zgadnij, kiedy przywiozą chociażby śmietanę, kiedy sto bułek. A ja się pytam, czy nasze świny chodzą bez krwi, bez nóg, głów? Rozumiem, że może nie być mięsa, ale gdzie są podroby? Przecież mogłyby poważnie ratować naszą trudną sytuację na rynku.

DANUTA MATYSZAK, pielęgniarka w Zespole Opieki Zdrowotnej w Zambrowie — Przeanalizowaliśmy już uchwały IX Zjazdu, teraz dyskutujemy wyniki II Plenum. Z podjęciem naszych uchwał, wprowadzeniem ich do planu pracy, czekamy do zakończenia sezonu urlopowego, żeby zebrać quorum. W ZOZ-ie jest spokojnie. Panuje klimat dobrej współpracy wszystkich związków i organizacji. W naszej egzekutywie trzy czwarte składu to członkowie „Solidarności”. Może dlatego nie ma u nas jastrzębi ani konserwy.

PRZEPRASZAMY prezesa Eugeniusza Franciszka Poredę za zmianę Jego imienia i podporządkowanie Mu mleczarni. Chochlik drukarski nie śpi.

„GAZETA WSPÓŁCZESNA” ma 30 lat! Dostojnej Jubilatee w dniu Jej święta gorąco życzymy, by każdy dzień był dla niej dniem urodzin: celnych pomysłów, głębokich refleksji, bezbłędnego wyczuwania potrzeb chwili.

punkt widzenia koncert życzeń

Srodowe (25 VIII br.) posiedzenie egzekutywy KW PZPR zdaje się potwierdzać maksymę „Przyzwyczajanie jest drugą naturą”, bowiem autorzy przedstawionych dokumentów, jak i część uczestników narady potraktowała szalenie ważny problem rolnictwa zdawkowo i powierzchownie. Materiały opracowane przez Wydział Rolny Urzędu Wojewódzkiego zawierały jedynie w miarę rzetelną analizę potencjału rolniczego województwa, opartą na danych ze spisu lipcowego, natomiast wnioski sformułowano ponadczasowo i bezosobowo. Nie precyzowały one ani rodzaju konkretnych zamierzeń, ani terminów ich podjęcia; nie wyznaczyły również osób za ich efekt odpowiedzialnych, przeto znów kolejny program działań wypada na półki z koncertami życzeń odczytywać, a sprzeczać nowy, co nastąpi — zgodnie z zaleceniem I sekretarza, Włodzimierza Michaluka — w ciągu dziesięciu dni, a znajdzie się w nim również bardzo ważne ustalenie, co można zrobić w dziedzinie rolnictwa siłami wojewódzkimi i o co należy się ubiegać (realnego) na zewnątrz, u władz centralnych.

Schemat zaokrąglania zdań, z jakim spotkałam się we wnioskach opracowania, wystąpił również w wypowiedziach osób odpowiedzialnych za gospodarkę w sektorze rolnictwa. Ich „wyjaśnienia” były doskonale zagmatwane i tylko zamąciły obraz zarysowany w analizie wyników spisu, bowiem nie realizowały żadnej zasady porządkującej fakty, czego nie można powiedzieć o wyrażonych i pełnych troski pytaniach pozostałych członków egzekutywy, które jednak nie doczekały się jednoznacznych odpowiedzi. A zdarzyło się i tak, że postulat z dokumentu (np. o doskonaleniu metod skupu żywności przez nawiedzanie zagród) na pniu zbijał jeden z jego autorów podważając metodę, którą zamierzano doskonalic; natomiast inny, zapowiadający pomoc dziesięciu gminom, w których spis wykazał znaczny spadek hodowli żywności, opierał się na diagnozie tego faktu tylko w niektórych z nich. Wyjątkowym talentem w enigmatycznych wywodach wykazał się prezes WZSR-u, Hilary Karwowski, a dla wiarygodności własnych słów powoływał się na rozmowę „z kilkoma rolnikami”. Generalnie rzecz biorąc — nie jest dobrze, jeżeli sztab wojewódzkich decydentów gospodarki rolnej w projekcie działania bazuje na domniemaniach, przypuszczeniach i nadziejach, dyrektor Wydziału Rolnego UW — głównie na informacjach TV (notabene: optymistycznych), zaś kierownik Wydziału Rolnego KW — na hasłach i danych z dwu zaledwie gmin. Nie wystarczy bowiem orzeknąć — jak słusznie stwierdził wicewojewoda Kazimierz Clapka — że w dziedzinie unasienniania zwierząt nie ma demokracji, lecz trzeba zaproponować konkretne sposoby jego udoskonalenia, pomijając fakt, że inseminacja ma niewiele wspólnego z demokracją. Po czym jeszcze raz przypominał, że jeśli praktyki nie będą wyprzedzać decyzje (jak choćby w przypadku cen kontraktacji rzepaku), to nieprędka nasza gospodarka osiągnie stan równowagi.

Myślę też, że wiele z poruszanych na egzekutywie tematów powinno mieć już na niej formę meldunków, a nie wniosków, w czym zgodna jestem zarówno z Włodzimierzem Michalukiem, jak i sekretarzem KW, Mirosławem Skalskim.

Radością również pokrzepiłaby mnie informacja o tym, że samorządy wiejskie nie ograniczają się tylko do udziału w podziale sprzętu rolniczego, lecz włączyły się do współpracy we wszystkich dziedzinach produkcji rolnej województwa. A i spółdzielczości większa aktywność by nie zaszkodziła. Taka jest konieczność chwili. „A jeśli nie możemy czynić tak, jak byśmy chcieli, czynmy tak, jak możemy”.

STEFANIA HENCZEŁOWA

bez pardonu

Uwaga, Czytelnicy z Goniądza!

O sprawach, które Was cieszą i bolą, o codziennych kłopotach i troskach, o problemach, na które oczekujecie odpowiedzi — 11 września rozmawiać będziemy wspólnie z gospodarzami miasta i gminy. Przypominamy naszą formułę:

WSZYSCY pytamy — WŁADZE odpowiadają

Czekamy więc na Wasze pytania. Nie unikajcie spraw trudnych i drażliwych. Żadna z nich nie pozostanie bez odpowiedzi.

Na listy i telefony oczekujemy w redakcji „Kontaktów”, ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, tel. 34-95, 40-22.

Publiczna rozmowa dziennikarzy i mieszkańców Goniądza z władzami miasta odbędzie się w piątek, 11 września, w siedzibie Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury. Początek spotkania o godz. 18.00.

Czekamy także na informacje z Wysokiego Mazowieckiego.

bez pardonu

zdarzenia

Andrzej Szczepiorski zawiść tłumów

[...] A jednak nie mogę opędzić się od pytań, wahań i wątpliwości. Trudno mnie posądzać o brak zrozumienia dla owych milionów ludzi w Polsce, którzy chcą i domagają się odnowy. A jakże, jestem z nimi. Wszelako odnajduję w tym ruchu pewne znamiona, które skłaniają do powściągliwości.

Jesienią wybuchła sprawa Macieja Szczepańskiego. Po całym kraju krążyły jakieś karteluski, zawierające prawdziwy lub zgoła nieprawdziwy spis jego majątkowości, a także kryminalnych praktyk, których jakoby dopuścił się na stanowisku prezesa radia i telewizji. Ogromnie się tym naród podniecał. Komentowano ze swadą na rozmaitych zebraniach, w towarzyskich i rodzinnych rozmowach, postępkami byłego szefa Radiokomitetu, dodając pikantne szczegóły, mnożąc listę jego limuzyn, konkubin i domniemanych afer. I jakoś niewiele mówiono o spustoszeniach, jakich człowiek ten dokonał w życiu duchowym Polski, nadając taki, a nie inny kształt programom telewizyjnym i radiowym. Nagle cała ta wielka problematyka wyparowała, umknęła z pola widzenia społecznego, wyparta przez tanią sensację, przez jakieś szczególnie w gruncie rzeczy nie warte uwagi. Szczepański stał się symbolem korupcji, pazerności, złodziejstwa, został osądzony przez opinię, zanim jeszcze śledztwo w ogóle podjęto, zanim jeszcze sprawę skierowano do sądu. Co więcej, ten odrażający symbol dotyczył prywaty, nuworyststwa, sobiepaństwa, chamstwa — nie dotyczył społecznego tła i społecznych implikacji. O dygnitarzach poprzedniej elity władzy krążyły najbardziej fantastyczne wieści i zarzuty, ale były to zarzuty dotyczące się złodziejstwa, rozpusty, malwersacji, osobistych występków. I nikomu nie przychodziło do głowy, że gdyby ci ludzie dobrze Polskę zarządzili, to niechby sobie mieli nie tylko dwie, ale pięć willi, nie tylko pięć, ale dziesięć limuzyn. Jakiś rys bezinteresownej zawiści, jakiś maglarski zapaszek unosił się nad tym rozrachunkiem z ludźmi, którzy bądź co bądź doprowadzili kraj do katastrofy ekonomicznej, do dramatycznego kryzysu społecznego i politycznego. Ale owa gospodarcza katastrofa i ów polityczny kryzys jawiły się w dyskusjach Polaków jako rzeczy wtórne, bo ludzi nade wszystko ciekawiła i podniecała ta cała otoczka, być może nawet niekiedy sensacyjna i pikantna, lecz w istocie rzeczy najmniej ważna.

To był czynnik mało budujący. Myślę, że to był czynnik pewnego rozkładu, pewnej demoralizacji, nadzwyczaj niebezpieczny, ponieważ ze strony władzy wystarczyłoby przecież odciąć się od owych nadużyć, afer, sensacyjek, aby problem uznano za załatwiony.

Każda władza na świecie stara się uniknąć otwartych dyskusji ze społeczeństwem na tematy drażliwe, nie należy zatem żywić pretensji do obecnej polskiej władzy, że czyni podobne zabiegi.

Obok rozwagi okazanej przez strajkujących robotników. Wybrzeża i Śląska latem oraz jesienią 1980 r. doszły do głosu dość tania emocje. A w gruncie rzeczy tylko jedno uczucie — wściekłość za to, że się było tak długo upokorzonym. Nie jest to uczucie piękne i czyste, nie prowadzi do ofiarności, entuzjazmu i czynów budujących. Poniżenia i upokorzenia owocują najczęściej nihilistycznym buntem. Nie musi to być zawsze bunt krwawy i ślepy, może przebiegać w długotrwałe działanie destrukcyjne. I tego obawiam się najmocniej. [...]

Władysław Fiałkowski: kariera

[...] Jeśli zaś chodzi o to, z czym wiąże największe nadzieje, muszę się ze wstydem przyznać, że wiąże je z czymś, co w naszej moralności uważa się za bardzo brzydkie, a mianowicie z nowym modelem kariery. Kariera jest u nas określeniem pe-

czego dżentelmeni nie robią. Dotychczas istniały zresztą bardzo ograniczone modele kariery. Pierwszym modelem był model kariery partyjno-administracyjnej, który otwierał drogę do wysokich stanowisk, drugim — model kariery naukowej. Trzecim modelem — modelem postępowania, bowiem nie można go już nazwać modelem kariery, było pokorne podporządkowanie się władzom bez przejawiania jakichkolwiek inicjatyw. To mogło zadowolić tylko jednostki nadzwyczaj biernie. Nie istniała natomiast praktycznie kariera zawodowa, nie było możliwości wyładowania swych emocji na przykład w indywidualnej działalności gospodarczej. Jeszcze dziesięć lat temu określenie „badylarz” czy „prywaciarz” było czymś ubliżającym. Dopiero od niewielu lat człowiek z prywatnej inicjatywy uzyskał swą społeczną nobilitację.

Ponieważ nie każdy chce obrać karierę administracyjną, nie wiążącą się z wiedzą, ale z politycznymi zasługami, dlatego taką olbrzymią popularność uzyskała w naszym kraju kariera naukowa, co spowodowało wyrojenie się tłumom nikomu niepotrzebnych naukowców. Tysiące młodych ludzi robi w Polsce doktoraty bez sensu, nie mając do tego żadnych

— W demokracji mężowie stanu są biedni i pragną się dorobić”.

Czy stąd wniosek, że demokracja jest w ogóle niemożliwa i niepożądana? Z pewnością jest pożądana, gdyż ma olbrzymie zalety — wyzwala energię społeczną, utrudnia ucisk i nadużywanie władzy, daje poczucie wspólnoty i uczestnictwa w zbiorowości, sprzyja umacnianiu więzi społecznych, pozwala na podejmowanie rozsądnych decyzji. W tym ostatnim aspekcie demokracja jest wręcz koniecznością, gdyż nawet w dzisiejszym „wyspecjalizowanym” świecie eksperci są jedynie od dobierania środków — od wyznaczania celów są natomiast wszyscy.

Pozostaje pytanie: czy demokracja w ogóle jest możliwa? Jest możliwa, ale bardzo trudna. Zastanawiając się nad przyczynami kolejnych eksperymentów demokratycznych, można dojść do wniosku, że jest kilka warunków oraz rozwiązań praktycznych, które sprzyjają większej trwałości demokracji i zmniejszają zagrożenie, że zostanie ona szybko i całkowicie zmanipulowana.

Pierwszy warunek wiąże się z głównym zagrożeniem dla demokracji, jakim jest władza jako wartość sama w sobie. Jej atrakcyjność

wość wymykania się spod kontroli i skłonność do nadużywania władzy. [...]

Józef Lipiecki partia bez pychy

[...] Odrodzona PZPR musi być jednakowoż partią polityczną, a nie czymkolwiek innym, na przykład zrzeszeniem filozoficznym, zapewniającym władzę jednej tylko z odmian metafizyki. Polska jest krajem wydatnej większości katolickiej, zwłaszcza w klasie robotniczej i chłopstwie. Dziś trudno rozprawiać, czy nie popełniono zbyt wielu błędów w przeszłości i czy część dawnych nieufności nie odżywa się echem jeszcze dzisiaj. Zarówno Kościół, jak i awangarda komunistyczna, nie chcą podziałów politycznych według kryteriów ontologicznych. Nie widzą więc powodu, aby do marksistowskiej partii (marksizm jest teorią przekształcania świata „ziemskiego”) nie mogli wstępować, bez koniecznej obfudy, także ludzie wierzący w światy pozaziemskie (jeśli taka ich



predyspozycji, a setki innych dają im te doktorskie tytuły, w ten sposób bowiem podbudowują swoją własną, tak samo podejrzaną, karierę.

Powstanie nowych związków zawodowych w ostatnich miesiącach stworzyło zupełnie inny model kariery. Młodzi, przeważnie ludzie, ambitni, o dużych walorach osobistych, którzy w warunkach społecznych lat siedemdziesiątych skazani byli na wegetację, nagle znaleźli ujście dla swojej indywidualności w wielkiej działalności społecznej. Doświadczenie zdobyli w ciągu miesięcy — inni potrzebowali lat. Jest to wielka przystępność ich życia. [...]

Wiktor Osiatyński: szanse demokracji

[...] Każda demokracja może być manipulowana — niezależnie od tego, na jakim szczeblu występuje i jak została wywalczona. Nawet bowiem w najbardziej sprzyjających warunkach trwałe utrzymanie demokracji jest kwestią niezwykle trudną. Zawsze będą występować liczne czynniki indywidualne, społeczne i ekonomiczne niezbyt sprzyjające demokracji. Na trzy spośród nich zwrócić uwagę już przed stu pięćdziesięciu laty francuski arystokrata, autor wiekopomnego dzieła „O demokracji w Ameryce”, Alexis de Tocqueville:

— Zawsze będzie tak, że lud będzie skazany na pośpieszne osądzanie na podstawie najbardziej widocznych cech;

— W demokracjach ludzie wybitni na ogół w ogóle nie zabiegają o wybór na stanowiska publiczne;

społeczna, prestiżowa, majątkowa i psychologiczna skłania do kurczowego trzymania się władzy, do krępowania wszelkiej krytyki oraz do ograniczania demokracji. W tej sytuacji konieczne staje się stworzenie i utrzymanie takich ograniczeń, by sprawowanie władzy nie było zbyt atrakcyjne. By nie dawało możliwości bezwzględnej decydowania o losach innych ludzi, by nie stwarzało szans bogacenia się, poprawiania własnej pozycji i powiększenia wpływów, by nie mogło być instrumentem zaspokojenia partykularnych interesów jednostki lub grupy, do której ona należy. Słowem, by władza była służbą, a nie przywilejem. By nagrodą za jej sprawowanie był szacunek, a nie korzyści. Taką zaś władzą może być jedynie władza ograniczona — zarówno co do przedmiotowego zakresu swych kompetencji, jak również co do swych uprawnień władczych — czym mniejsza bowiem władza, tym mniejsze możliwości jej nadużycia. Władza musi być ograniczona także w tym, że zostawia obywatelom zakres swobód i praw, których żadna — nawet najbardziej demokratyczna — władza nie może naruszyć. Jakże mają być te prawa — to temat do głębokiego, zbiorowego namysłu.

Nie trzeba dodawać, że tego rodzaju ograniczenia muszą być tym większe, im wyższy szczebel organizacji społecznej. Władza na najniższym szczeblu, najbliższym obywatelom, może mieć stosunkowo szerokie uprawnienia — oczywiście pod warunkiem, że będzie rzeczywiście podlegała demokratycznej kontroli społecznej, inaczej bowiem nieuchronnie przekształci się w zdecentralizowane i nieczym nie skrupowane rządy lokalnych klik. Uprawnienia natomiast wyższych władz powinny być coraz bardziej ograniczone, bo czym dalej od mas, tym większa możli-

wola i potrzeba), ale mieszczący się w ramach ideologii marksistowskiej i politycznie utożsamiający się z tworzeniem komunizmu. Sfera światopoglądu metafizycznego i tradycyjnych obyczajów powinny być uznawane za dziedzinę prywatności, tym łacniej, iż sfornowane żywiołowo zasady stanowia istotnie bezsensowną płataninę: za „komunistę” mógł uchodzić każdy ateusz (byłe partyjny), nie mogli się zaś bez reszty za komunizm opowiedzieć obywatele, którym wytykano przywiązanie do wielowiekowej tradycji katolickiej lub sympatię z dowolną wersją metafizyki supranaturalistycznej.

Oczywiście nieznosna jest pycha każdego z partnerów i ona spowodować może liczne powikłania, obawiać się należy zwłaszcza dogmatycznej nieprzenikalności wielu katolików (którzy przecież mogą nawet do dekalizacji państwa, a zwłaszcza szkolnictwa), wydaje się jednak, że polski kompromis historyczny, chaotycznie dziś kształtujący polską rzeczywistość, powinien zostać przeprowadzony racjonalnie, z uznaniem logicznych argumentów, i w sposób kompleksowy. Część energii społecznej Polaków bezpowrotnie bywała bowiem tracona na niepotrzebne utarczki, które nikomu korzyści, a Polsce tylko szkodę przynosiły. [...]

Zaprezentowaliśmy powyżej kilka wybranych głosów z publikacji „Iskier” pt.: „Nadzieje i zwątpienia”. Książka ta jest plonem ankiety wydawniczej, która jakby poszła śladem naszej inicjatywy: „Polski dylemat — nadzieje i zwątpienia”. Sygnalizujemy i te wypowiedzi pochodzące z zestawu książkowego w przekonaniu, że różnorodność myśli zespoli się z czasem w jedną treść.

Fot. Gabor Lőrinczy



kontakty kontaktów

W 54 numerze tygodnika w rubryce „Kontakty »Kontaktów«” ukazał się list krytyczny mgr Stanisława Chmielewskiego, mgr Kazimierza Dąbrowskiego i Janusza Przychodzenia, dotyczący wycieczki zorganizowanej przez Biuro Obsługi Ruchu Turystycznego przy Zarządzie Oddziału PTTK w Zambrowie. [...]

Wyznając pogląd, że jednostka podejmująca się wykonania zadania winna wykonać je właściwie, a klient płacić ma prawo wymagać dobrej obsługi — nie liczę na usprawiedliwienie i przeproszenie w imieniu organizatora wszystkich uczestników wycieczki za przykrości i niebezpieczeństwa, na jakie zostali narażeni. Liczę jednak na to, że moje wyjaśnienia w zestawieniu z listem Panów, pisany na „gorąco” po doznanych przykrościach, pozwolą na bardziej obiektywne spojrzenie na tę sprawę.

BORT przy ZO PTTK w Zambrowie przyjął zlecenie na zorganizowanie wycieczki dnia 10.02.81. W dniu 15.02.81 zamówiono wszelkie świadczenia, w tym i noclegi w Zakopanem. Mimo kilkakrotnych interwencji otrzymywano tylko telefoniczne potwierdzenia i zapewnienia o rezerwacji. Przy jednej z rozmów, w której zapewniono o wysłaniu potwierdzenia na piśmie, był obecny pan mgr Dąbrowski. Dokładną informację o zarezerwowanych noclegach w Zakopanem wpisano w kopie zamówienia podpisanego przez kierownika biura i wręczono wraz z pełną dokumentacją panu Dąbrowskiemu. Pan mgr Dąbrowski jako kierownik wycieczki był o wszystkim poinformowany, a ponieważ jako znający dokładnie trasę wycieczki, na własne wyraźne życzenie zrezygnował z pilota — był w posiadaniu całej dokumentacji. Formalne potwierdzenie na piśmie faktycznie wpłynęło, ale w dniu rozpoczęcia imprezy, po wyjeździe. Żadnych kłopotów z realizacją i korzystaniem ze świadczeń na trasie nie było, co dowodzi o dobrej organizacji wycieczki. Wystąpiły natomiast kłopoty z autokarem, które na szczęście nie zakończyły się tragicznie.

PTTK jako stowarzyszenie wyższej użyteczności, organizacja społeczna zrzeszająca turystów, chcąc zdobyć środki na podstawową działalność programowo-turystyczną i krajoznawczą, prowadzoną dla całego społeczeństwa, oraz na utrzymanie biur i niewielkiej obsady etatowej zajmuje się również działalnością usługową. Na terenie naszego województwa działalność ta przejawia się przede wszystkim w obsłudze ruchu turystycznego, a ponieważ na cztery biura obsługi istniejące na naszym terenie tylko dwa posiadają autokary, biorąc pod uwagę duże zapotrzebowanie — wykorzystujemy je maksymalnie, co nie oznacza, że wypuszczamy je niesprawne technicznie.

Jednym z tych autokarów jest „Jelez” (rok produkcji 1973), własność oddziału łomżyńskiego, z którego skorzystał oddział zambrowski organizując wycieczkę. Biorąc pod uwagę żywotność środków transportu w turystyce, pojazd ten jest już „pradziadkiem”. Uważam jednak, że dobrze to świadczy o jego właścicielach. W czerwcu 1980 roku autokar poddany był remontowi, a od sierpnia tegoż roku czeka na dokonanie przez Zespół Rzeczoznawców Techniki Samochodowej i Ruchu Drogowego w Białymstoku oceny wykonania remontu. Prośba o dokonanie tej oceny ponowiona była 9.01.81 r., a 6.07.81 r. — o dokonanie oceny technicznej.

W tej sytuacji nadal korzystano z autokaru, dbając o jego stan techniczny i robiąc przeglądy oraz drobne naprawy przed każdym wyjazdem. Tak było również w tym przypadku. Kierowca po powrocie z dłuższej trasy w dniu 31.05.81 r. rano, przygotowywał pojazd do wyjazdu na opisywaną wycieczkę i stwierdził awarię. Nie mógł jej usunąć samodzielnie, nie mógł też skorzystać z warsztatu mechanicznego (niedziela). Kiedy zawiodły próby uzyskania innego środka lokomocji — przedkładając bezpieczeństwo uczestników nad przykrości spowodowane

„STARCIA” — Dyskusyjny Klub „KONTAKTÓW”

Czytając od pierwszej do ostatniej strony kolejnego egzemplarza „Kontaktów” natknąłem się — miesiąc, może dwa temu — na artykuł Piotra Kuncewicza, w którym podaje, między innymi, przychylnie skłaniającą Go, jako literata, do zabrania głosu w sprawach gospodarczych kraju. Po tej lekturze zadałem sobie pytanie: „Doktorze nauk ekonomicznych o specjalności organizacja i zarządzania przemysłem, czemu nie włączysz się do tej dyskusji?”. I machinalnie chwyciłem za pióro, by wypowiedzieć się na jeden z dyskusyjnych tematów. Zadałem sobie jednak dodatkowe pytanie: co osiągnę przez tę wypowiedź? Czy w ogóle moja wypowiedź będzie zauważona, jeżeli reprezentuję tylko siebie i nie jestem ekspertem liczącym się w organizacji gospodarczych, administracyjnych bądź związkowych? Tak rozpamiętując — nawet nie zauważyłem, jak pióro znów znalazło się w mojej dłoni, a ja przyjąłem do realizacji starą rzymską maksymę: „Słowa uczą, przykłady pociągają”.

W szerzeniu idei odnowicielskich, na miarę swoich możliwości, dotrzymałem do 15 sierpnia 1981 r., godziny 11.00, czyli do dnia i godziny, w której rozpoczęło się kolejne „starcie” w ramach Klubu Dyskusyjnego „Kontaktów” na temat: „Kultura i kulisy władzy”. Uczestniczyłem w dyskusji po raz drugi, choć „starcie” na temat: „Polskie zakrety” charakterem i „techniką” wyraźnie różniło się do drugiego. Szedłem na to spotkanie z zamiarem dokształcenia się bądź skonfrontowania cudzych przemyśleń z własnymi.

W samej dyskusji poruszyły mnie dwie wypowiedzi: jedna z nich o charakterze autobiograficznym, jak to „nie chciałem kandydować do zakładowych władz partyjnych, bo wiedziałem, że trzeba odejść”; druga o tym, jak robotnicy skreślali ro-

botników na zasadzie: „Sam nie zje i innemu nie da”. Wypowiedzi te utwierdziły mnie w przekonaniu, że wiele musimy się uczyć, aby osiągnąć coraz to wyższy poziom świadomości społecznej. Bo jeśli mieniący się komunistą tak płytko myśli, to jaki jest pogląd pozostałych? A może ci są bardziej dociekliwi?

Dyskutant, który sam zrezygnował z kandydowania do władz partyjnych, nie był, jak powszechnie wiadomo, w takiej decyzji odosobniony. Wiedział, że i tak go nie wybiorą, a w dokumentach pozostanie czarna plama. A przecież może mu się nadarzyć okazja do zaprezentowania swojej odnowicielskiej postawy. Dalszy rozwój wydarzeń można przewidzieć.

Spotkałem się z zawiścią, podwójną dyplomacją, ale wśród ludzi na stanowiskach kierowniczych czy — szerzej — nierobotniczych, natomiast nigdy wśród robotników czy rolników. Ci pierwsi, uczestnicząc bezpośrednio w procesie produkcyjnym, mają do czynienia z żelazną konsekwencją: dobry surowiec — dobra praca — dobry wyrób. Tej logiki nie da się zmienić niedomówieniami, a tym bardziej — złośliwościami. Równie oczywistą i bezwzględna logiką kierują się rolnicy: dbanie o gospodarstwo daje efekty. Te fakty wykluczają ich z gry, w której motorem jest zawiść wobec współtowarzyszy.

Skreślenie robotników z listy delegatów było jednak faktem! Musimy pamiętać, że w każdej instytucji — obok organizacji formalnej — istnieje organizacja nieformalna. Zależność między nimi jest tym silniejsza, im tradycje robotnicze są mniej utrwalone, gdyż zrodziły się dopiero wraz z uruchomieniem nowych zakładów pracy. Próba niepodporządkowania się oddziaływaniom formalnym rodzi określone, przeważnie przykre, kon-

sekwencje. I kto rozsądnie myślący podporządkuje jednorazowe zdarzenie wyboru ciągłym zdarzeniom pracy, mając żywo w świadomości dyskutowany problem przemieszczenia zasobów pracy?!

No tak, względem spraw podniesionych w dyskusji zajmę stanowisko; a jakie są moje refleksje na temat dyskusyjny? Otóż w samym problemie władzy i kultury odchodzenia od niej (bo taki był roboczy temat) można wyróżnić co najmniej trzy etapy: dobór pracowników na stanowisko kierownicze, wykonywanie funkcji kierowniczych, odejście od stanowiska kierowniczego.

Dobór kadry jest niewątpliwie trudnym problemem, wymaga bowiem skrupulatnego wyselekcjonowania spośród wielu pracowników tego, który najlepiej odpowiada obiektywnym kryteriom, ustanowionym dla określonego stanowiska. Nie zamierzam wymieniać ani omawiać tych kryteriów. Powiem tylko, że u podłoża wszystkich decyzji kadrowych powinna być chęć ponoszenia odpowiedzialności przez kandydata, a potem dopiero — wysokość dochodów.

Dobór pracowników na stanowiska kierownicze powinien się odbywać wśród wykwalifikowanych kandydatów, legitymujących się co najmniej kilkuletnią praktyką w zakładzie produkcyjnym, a efektywność ich pracy musi być przedmiotem okresowych (obiektywnych) kontroli załogi i społeczeństwa, reprezentowanych przez samorząd oraz radnych.

Teoretycy twierdzą, że rutyna zajmuje miejsce inwencji po 5—8 latach. Oznacza to, że po 8 latach (dwóch kadencjach) kierownik powinien zrezygnować z zajmowanego stanowiska i — w zależności od wyników pracy — objąć odpowiednią posadę w innym zakładzie pracy. Ponadto w zakładach muszą istnieć warunki do zdrowej konkurencji, w myśl zasady: „Niech zwycięża obiektywnie lepszy” (nie mylić z obowiązującą aktualnie maksymą: „Niech zwycięża pracownik z małą głową, ale szerokimi plecami”).

Odejścia z zajmowanych stanowisk następowały w przeszłości przez: awans na wyższe stanowisko, zwolnienie ze względu na chorobę (i powierzenie innego, również odpowiedzialnego stanowiska), zdjęcie ze stanowiska ze względu na pozostawienie kierownika szczebla wyższego. Wytworzyło się w społeczeństwie przekonanie, że odejście ze stanowiska w drugim i trzecim przypadku jest degradacją, a zatem złem koniecznym, powoduje bowiem spadek nie tylko w hierarchii społecznej, ale i wyraźne zmniejszenie poborów.

Czy w przyszłości można będzie odejść na własną prośbę i pozostać w opinii społecznej wartościowym obywatelom? Tak, ale muszą być spełnione następujące warunki: po pierwsze — celowi działania jednostki gospodarczej muszą być podporządkowane, obiektywnie wyselekcjonowane, środki produkcji i siły robocze (wraz z kierownictwem) innych jednostek organizacyjnych; po drugie — gospodarowanie musi się odbywać przy zastosowaniu obiektywnie istniejących mechanizmów ekonomicznych i to w odniesieniu zarówno do procesu produkcyjnego, jak i motywacyjnego załogi; po trzecie — stanowiska kierownicze muszą być powierzane osobom odpowiedzialnym obiektywnym kryteriom doboru, a odejście z nich nie może się równać degradacji finansowej, lecz powinno być przejściem na stanowisko stosowne do kwalifikacji i stanu psycho-fizycznego, wcześniej przygotowane, a nie w momencie odchodzenia.

Heleńko wypowiadałem się na temat, w którym człowiek zajmuje centralne miejsce, tylekroć mam wrażenie, że problem potraktowałem zbyt skrótowo, a zaakcentowane momenty nie są najważniejsze. Podobne wrażenie towarzyszy mi i w tym przypadku. Mam jednak świadomość, że są to jedynie refleksje, spisane bezpośrednio po dyskusyjnych starciach. Dyskusja ogólnonarodowa trwa — i musi trwać, bo wiem twórczy dialog zawsze towarzyszy rozwijającemu się społeczeństwu.

dr ANTONI
CHOJNOWSKI
Fot. Gabor Lőrinczy

odgłosy



1.

Wysiadłam z kolejki elektrycznej na przystanku Gdańsk-Stocznia. Przez megafony słyszałam słowa powitań, adresowane do przyjeżdżających na obchody uroczystości grudniowych. Powoli wchodziłam na wiadukt, od którego przez połowę Sierpnia rozpoczynałam swoją wędrówkę w stronę strajku. Za kilka godzin odsłonięcie pomnika. Idę obok murów, które przed czterema miesiącami były oblepione ludźmi, świętymi, słowami i kwiatami. Już z dala błyszcza w słońcu krzyż — srebrzysty i tragiczny — nieopodal w dole, przed małym sklepikiem, który pamięta z pewnością wszystkie zakręty powojenne i inne dole oraz niedole, kolejka po masło. Po stronie drugiej podobne oczekiwanie — na mięso. Przed nimi pomnik — wzniesiony dla tych, którzy sprzeciwili się bezprawiu i nieposzanowaniu ludzkiej godności.

Nigdy przedtem ani potem nie uświadomiłam sobie równie mocno bezsensu śmierci.

2.

— Może powiesz coś o sobie?
— 1956 zastał mnie w pieluchach, 1968 w szkole podstawowej, 1970 w liceum ogólnokształcącym, 1976 w Uniwersytecie Gdańskim, 1980 w redakcji „Głosu Wybrzeża”.

— Zadam ci to samo pytanie, od którego rozpoczęłam rozmowę z członkiem Komitetu Strajkowego ze Stocznii im. Komuny Paryskiej w Gdyni, inż. Mieczysławem Welke. Co robiłaś w czasie strajku?

— Patrzyłam jak inni strajkowali i usiłowałam z tego patrzenia wyciągnąć jak najwięcej wniosków. Niekoniecznie dla siebie. I im bardziej przyglądałam się, tym moc-

niej się nie można, frazesy nie dają dachu nad głową, banały nie leżą.

— Ale przecież ty należysz do tego pokolenia, o którym mówisz, więc...

— Należę i nie należę. Jestem z nimi i obok.

— Skąd ta dwoistość?

— Powiedzmy, że jest to niechęć do szufladkowania. Wystarczy, że przez całą ostatnią dekadę siedzieliśmy w skrzynce z napisem: „obojętni, konsumpcyjni, komercyjni, zynifikowani”. Wyobrażam sobie, jak się czuli w Sierpniu ci, co dokonali podobnej kwalifikacji. Pewnie teraz opracowują nowe ankiety, formularze, kwestionariusze.

3.

W czwartek, 14 sierpnia, stałam w Stocznii im. Lenina w Gdańsku. W piątek dołączają do niej inne zakłady — Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni, Gdańska Stocznia Remontowa, porty, komunikacja miejska, zakłady kooperujące z przemysłem stoczniowym. W sobotę kolejne przedsiębiorstwa zakładają komitety strajkowe. I tak już każdy dzień będzie zwielokrotniał liczbę strajkujących załóg, aż przekroczy ona sześć setek.

Zycie jednak nie zamiera. Tylko czas inaczej się mierzy. Od gotowości strajkowej do strajku, od informacji dziennika telewizyjnego do wiadomości ulotki przyklejonej na murze, od niepokoju do nadziei.

— Wszyscy mówią o odnowie. Czy w nią wierzysz?

— Odnowa, odwilż — pojęcia z polskiego słownika słów skompromitowanych. Nasza odnowa to metamorfoza zła jawnego w utajone. Cisi i pokornego serca od dawna

do „Solidarności” — mówi Lucyna, koleżanka. I ponownie cisza. I znów pięści zaciśnięte do bieli paznokci.

6.

Jaka szalona radość i satysfakcję sprawia niektórym, iż mogą powiedzieć komuś, najczęściej przełożonemu, co myśla. To cudowne poczucie bezkarności, nieposzanowania konsekwencji, oszalałam ich, daję poczucie, jakże iluzoryczne, własnej ważności, a może nawet odwagi. Zaczera się ta subtelna granica między prawdą a pomówieniem, szczerością a nonszalancją, bezkompromisowością a hipokryzją.

— Czyżbyś była za milczeniem?

— Wiesz, że nie. Boleję jedynie nad tym, iż w naszej posierpniowej sytuacji najbardziej dostają po głowie ludzie, których rzeczywista wiara i rzeczywisty udział w złe był mały albo nieistotny. Ale oni dostają, gdyż ich najłatwiej uderzyć. Tym z wyższych pięt wymierza się co najwyżej klapsy.

— Trochę przesadzasz...

— Wiem, myślisz o tych publicznie skarconych i ukaranych. Ale ilu ich na dobrą sprawę było. Tylko czy my rzeczywiście musimy o złodziejach rozmawiać?

7.

Styczeń. Posiedzenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. W Klubie „Ster”. Godziny wieczorne. Zmęczenie i znużenie na twarzach zgromadzonych (Dygresja: dla wielu z KKP ich działalność jest przygodą. Jednych męczy, innych wciąga). Przedmiotem dyskusji są „wolne soboty”. Raptem trzask gwałtownie otwieranych drzwi, tupot nóg — to szczeciński Jurczyk biegnie przez salę do mikrofonu i dramatycznym głosem mówi: — Miałem telefon ze Szczecina.

cu ona się odzywa: — Piszesz ciągle w tej swojej gazecie?

— Każdy gdzieś lub coś pisze — odpowiadam i chyba te słowa przełamują jakąś niewidzialną barierę, bo zaraz słyszę: — Bardziej mi się podobał twój artykuł o odwadze cywilnej. Miałas z nim kłopoty?

— Nie — kłamie. Ale kto to widział w lipcu w gazetach wydarzenia grudniowe, zapowiedź i oczekiwanie na kolejny protest społeczeństwa, albo o serwilistycznych metodach wychowawczych w naszych szkołach.

Dwa miesiące po strajku. Spotkanie z koleżanką ze studiów, Teresą N. Opowiada o Sierpniu w jej zakładzie pracy, o tym, jak zawieszona flagą na budynku, bo wszyscy się bali i jak jechała do stoczni, aby zgłosić w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym przystąpienie do strajku. I jeszcze o tym, jak jej dyrektorka, która pół roku wcześniej zwolniła z pracy dziewczynę za jej powinowactwo z Ruchem Młodej Polski, stanęła — po podpisaniu porozumienia — na czele odnowy. I także o tym, że wtedy coś jej w środku pękło, załamało się i nie zadeklarowała swojej przynależności do nowych związków.

— Chciałaś mnie o coś zapytać?
— Tak. Czy nasze chore społeczeństwo może wydać na świat coś zdrowego?

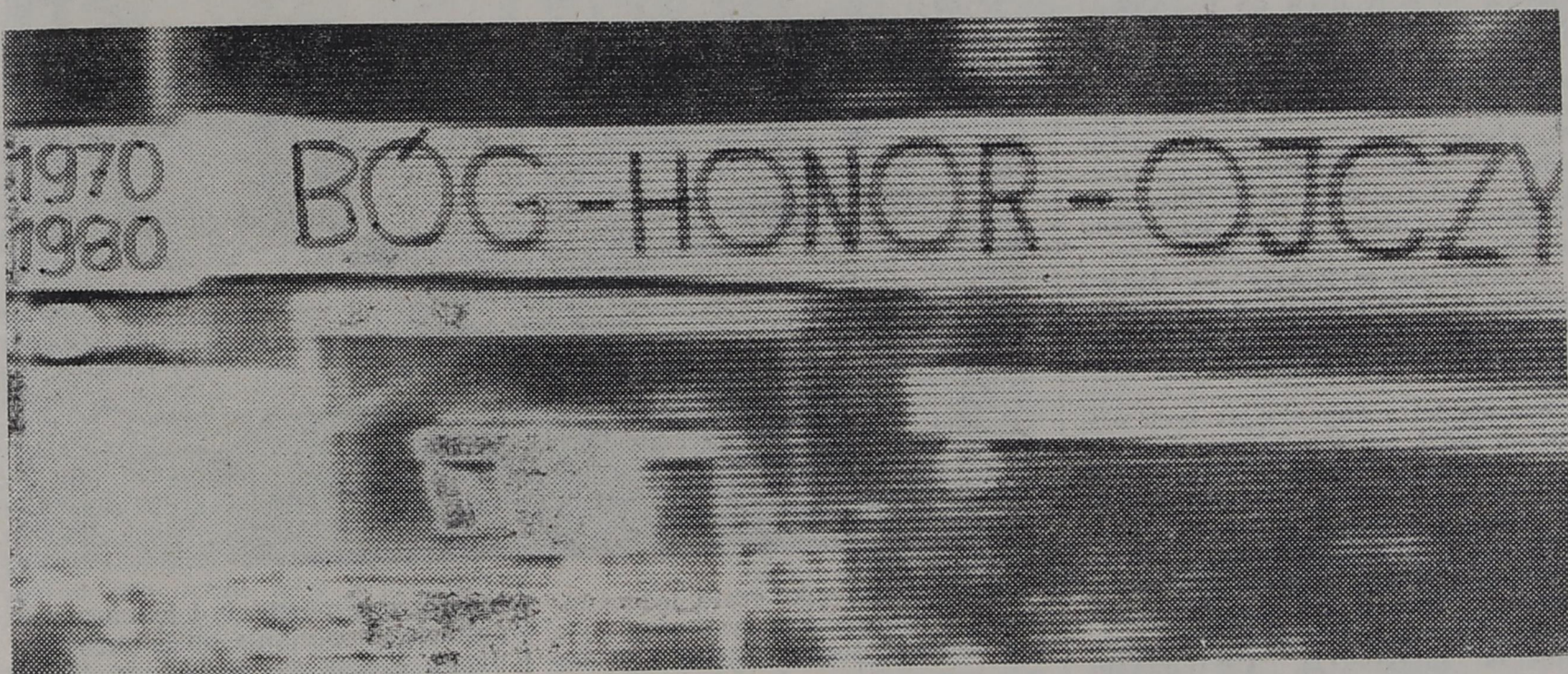
10.

Luty. Posiedzenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. Wałęsa lapidarnie relacjonuje spotkanie u wicepremiera M. Rakowskiego.

— Była to rozmowa elektryka z redaktorem.

Kiedy zdenerwuje się, mówi: — Jestem dyktatorem demokratycznym! — I tłucze pięścią w stół.

Sierpień długi jak rok



niej bolały mnie oczy od złodziejskiego i draństwa, samowoli i bezkarności. A im dłużej milczano o tym, co się działo w stocznich, im goręcej używano słów „przeście” zamiast „strajk”, im uporczywiej pomijano milczeniem istnienie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, po której stronie jest racja. Albo inaczej — prawda. Lub jeszcze inaczej — przyszłość.

— Balaś się? Chociażby powtórzenia historii sprzed dziesięciu lat?

— Zdarzało mi się obudzić w nocy, gdyż słyszałam odgłos jadących czołgów. Myślałam, że nikomu, kto przeżył grudzień w Trójmieście, strach nie był obcy. To po prostu już nam pozostanie. Jak ślad po ospie albo po operacji wyrostka robaczkowego.

— Strach obojętności, paraliżu — myślenie i działanie. Gdyby więc wszyscy się bali, wtedy by nie było Lipca w Lublinie, Sierpnia w Trójmieście i Szczecinie. Albo przełomu Stycznia i Lutego w Łodzi. Może po prostu jest to twoje usprawiedliwienie. Pamiętaj, iż strajk zrobił twój koleś — rówieśnicy i młodszy. Ci drudzy przede wszystkim.

— Gdy im jeszcze nie zdążyła stępnąć się wrażliwość, oni, póki co, nie przyzwyczaili się do popychania i odpychania, na razie nie weszli w układy, z których nie ma wyjścia nawet na sposób angielski. To jest pokolenie nie mające nie do stracenia — wyobrażasz sobie tragiczniejszą sytuację? — a tylko do zyskania. Stąd ich determinacja i upór. To jest pokolenie, na którym skupiają się wszystkie nieporozumienia polityki powojennej i które w odpowiedzi na słowa rodziców: „Dla was budowali ten kraj” — odwraca się plecami. Sloganami na-

przewidywali krach. Marni i klaszczący wszystkim poczynaniom i nie poczynaniom władzy ostrzegali przed zgubnymi skutkami dotychczasowej polityki.

Względność zachowań, postaw i słowa.

4.

Wrzesień. Pierwsze spotkanie w siedzibie Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego w Gdańsku-Wrzeszczu. Z okazji seminarium, zorganizowanego przez Ośrodek Badań Społeczno-Zawodowych, na temat roli związków zawodowych — nowych — w życiu społeczno-gospodarczym.

Za zielonym stołem prezydiującym siedzi Wałęsa. Za nim wisi krzyż. Przed nim pracownicy nauki z gdańskich uczelni. Chociaż nie tylko.

— Co sądzisz o Wałęsie?

— Uczciwość i prostota. I jeszcze coś, co trudno zamknąć w słowo, a co daje mu przewagę nad wszystkimi.

— Nie ma w twoim głosie entuzjazmu...

— Wiesz, jaki jest los bohaterów wyniesionych w ciągu jednego dnia przez lud na piedestał?

5.

Mój znajomy, psycholog z zawodu, gdy widzi, że wokół moich oczu pojawia się cień fioletowo-żółty, mówi: — Staraj się patrzeć na wszystko z dystansu. Na siebie także. Obcymi oczami drągiej osoby, pytaniami twojego bliźniego. Postaw swoje wątpliwości obok siebie i obserwuj je. Analizuj. Ale pamiętaj, iż obok ciebie jest ktoś drugi, inny, na przykład koleżanka. Wtedy wszystko nabiera nowego wymiaru.

— Dlaczego ty nie strajkujesz?

— Dla Grzegorza, brat. I odpowiada mu milczeniem.

— Wszyscy uczciwi ludzie należą

Na sali robi się cisza, w czasie której być może niejedną nadśliczuje, czy z ulicy nie nadechodzą jakieś dźwięki.

— Miałem telefon — powtarza, może dla zwiększenia efektu — że sekretarz i wojewoda szczeciński opowiadają, iż Wałęsa sprzedał dwie wolne soboty za uwolnienie więźniów politycznych.

Uff, to tylko sala oddycha z ulgą.

Moja niechęć do Jurczyka wzrasta.

— Nigdy nie chciałaś zmienić zawodu?

— Zawsze wtedy, gdy mam kłopoty z „przepychaniem” tekstu, no, jakiegoś zdania, akapitu, nieraz słowa, pytam o sens. A najbardziej w Sierpniu, gdy tak bezpardonowo z nikim się nie liczone. Zupenie u bezwłasnowolnienie. Rozlicza się nie z intencji, przemyśleń, tylko z działań. Albo z ich braku.

8.

Solidarnościowy strajk okupacyjny studentów Akademii Medycznej w Gdańsku. W budynku Instytutu Biologii Medycznej ponad 1500 studentów dołączyło się do protestu pracowników służby zdrowia, okupujących jedną z sal Urzędu Wojewódzkiego. Strajk rozpoczął się w piątek po południu. Kiedy zjawiam się tam w sobotni wieczór, otrzymuję do podpisania papier, z którego wynika, że zobowiązuję się do ocenzurowania tekstu przez przedstawiciela Komitetu Strajkowego. Oddaję ów papier.

— Mnie naprawdę jest obojętne, kto będzie cenzurował moje teksty. [...]

9.

Dwunasty dzień strajku. Nie opodal Gdańskich Stocznii spotykam koleżankę ze studiów, związaną z Ruchem Młodej Polski. Patrzymy na siebie przez niepewność w koń-

W sali konferencyjnej gdańskiego hotelu „Hevelius” jest przyjemnie. Niektórzy zadają sobie pytanie: czy przez pięć miesięcy można obrosnąć w piórka?

— A ty jak sądzisz?

— Póki co, o obrastaniu trudno mówić. Można jedynie o tym, że niektórzy po prostu grają rolę, których nie umiem i których nigdy się nie nauczą. Bo nie mają zdolności.

11.

Aula Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Gdańskiego wypełniona po brzegi adiunktami i asystentami. Oczekiwanie na ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, Janusza Górskiego, który jak tylko wejdzie do auli, powie: — Nie jestem piękną gwiazdą filmową i w związku z tym będę mówił do mikrofonu.

Siedząc w tłumie nie wiem jeszcze, że dzięki mojej relacji z tego spotkania minister Górski narazi się swojemu koledze Kuberskiemu, a gościć ich będzie ówczesny premier, J. Pińkowski. Nie wiem też, że przyjdzie mi słuchać, jak to pan Górski, stojąc na czele Komisji Rządowej w czasie rozmów z Ogólnopolską Komisją Porozumiewawczą Nauki NSZZ „Solidarność”, będzie mówił: — Strajki uderzają w społeczeństwo, a nie w rząd, który je z pewnością przetrzyma, ale czy to się uda społeczeństwu, tego nie jestem pewien. [...]

12.

— Jak żyć?

RENATA MROCZKOWSKA

Autorka reportażu jest tegoroczną laureatką jednej z pięciu nagród I stopnia w Konkursie im. Adama Polewki. Tekst drukujemy z niewielkimi skrótami

Fot. Gabor Lörinczy

dziejnictwo



kontakty kontaktów

Często dotąd chwalono „Kontakty” za poziom wyższy niż innych pism regionalnych. Np. wg Kazimierza Koźmiewskiego: „nie zamykają się w łomżyńskich opłotkach, przez penetrację regionalnych problemów wchodzą z tym specyficznym posagiem wartości do obiegu ogólnonarodowej świadomości”.

Gratuluje, ale chodzi mi o dalszy krok w tę stronę: o przedruki — może i we wszystkich gazetach — za pokazanie formy (sposobu, metody) realizacji Porozumienia Społecznego mianowicie Pokazanie, jak (Stefan Bratkowski, „Gazeta Współczesna” z 6 lipca) „robić sprawy konkretne, które zależą od nas samych”, bo „rzeczy wielkie robi się jednak przy pomocy pozornie małych, upartych działań”.

Wymienione „formy realizacji” — to właśnie kontakty wszystkich ludzi dobrej woli w sferze informacji. Nie ma ich jednak, gdy „każdy mówi o czymś innym, jak zwykle w życiu rodzinnym” — bo diabeł siedzi w szczegółach, w dyspersji, w entropii: zagadamy Polskę na śmierć, utonimy w białym szumie informacyjnym.

Będą te kontakty, gdy potrafimy skupić nocne rodaków rozmowy wokół jakiegoś Sztandaru (żeby rzecz górnołotnie), wokół jakiegoś konkretnego hasła. Zintegrować zatonięte w ub. latach społeczeństwo wokół jakiegoś — niekoniecznie najważniejszego, na początek — „punktu przełamania” przysłowiowej polskiej niemożności. Za nim łatwo pójść następne małe kroczki, gdy „damy Panu Bogu szansę i wypełnimy kupon totolotka”.

Będzie to punkt zaczepienia, punkt oparcia... „Dajcie mi go, a udźwignę ziemię” — mówił Archimedes. „Begrantung macht den Meister” — dodawał Goethe. Czyń każdy w swoim kółku, uprawiaj swój ogródek, itp. masa cytatów.

Tak więc wybierzmy jakiś niekontrowersyjny, ale za to efektowny, spektakularny problem — i pilotujmy go! Niech będą dosłownie dwa zdania o nim, ale koniecznie co tydzień! Niech każdy poczuje się współautorem sprawy, współtwórcą, współbudującym — mając otwartą dostęp do dyskusji, do rzucania pomysłów w kwestii. Żeby tu zniknął podział na „oni” i „my”, żeby i władza, i obywatel wspólnie poczuli, że „wychodzą z ciosem ze zwarecia”. Żeby powstała Supersolidarność: my pokażemy krajowi, jak budować platformę konstruktywnych rozwiązań!

Widzę temat, będący szansą pójścia za ciosem: na listę zaradnych wpisujemy zbiorowo tych wszystkich w Łomży, którzy zadbał o zapewnienie wszystkim dzieciom z miasta miejsca w przedszkolach — chwali nas w tym tygodniu „Trybuna Ludu”. A „Gazeta Współczesna” wtóruje listem wojewody, z którego wynika, że liczba miejsc w łomżyńskich przedszkolach zwiększy się z 950 obecnie do 1530 w grudniu. O-tóż jest to skok rzeczywiście bezprecedensowy (mogę go podbudować wykresem, jak Łomża piorunująco mija inne tzw. miasta wojewódzkie w tym względzie — co umocniłoby patriotyzm lokalny i tym samym wzmogło procesy integracyjne).

Ale warunkiem sine qua non jest złapanie tej jednej sroki za ogon i niewypuszczenie jej aż do końca! Wtedy „Trybuna Ludu” obecną pochwałę na wyrost będzie powtarzać za naszymi cotygodniowymi donosami o postępującej realizacji i szczęśliwym finale. Oraz o tym, że potrafiliśmy zastąpić formułę „List otwarty na list otwarty” — scaleniem inicjatywy obywatelskiej. To scalenie jest kluczem do polskiej Odnowy.

ZDZISŁAW GAŁĄZKA
Łomża

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Nie jest to, o co może nas ktoś posadzić, nawoływanie do założenia wędzidel mowie czy też apel o ograniczenie sporów i dyskusji, których nigdy za wiele. Zawwsze jednak a dziś szczególnie ich wartość określa to, w jakim stopniu służą życiu czynnemu, czy zbliżają, a przynajmniej rozjaśniają, odmienne punkty widzenia, czy potęgają myśli i chęć zmieniania rzeczywistości, czy też pogrążają nas w beładzie jałowych narzekan, braku odpowiedzialności, fatalizmie i niemocy.

W przekonaniu, iż największą dziś biedą polską jest opuszczanie rąk, beładne często wyzyskiwanie na cud nad Wisłą (w postaci choćby zbawiającej nas od zaraz reformy gospodarczej), rozpoczynamy nowy cykl publikacji pod hasłem: „Nie dajmy się biedzie”. Spróbujemy w nim ustalić, dlaczego słynna w świecie zaradność Polaków jako jednostek tylko z rzadka sprawdza się w naszym codziennym życiu zbiorowym, w rozwiązywaniu dekucyjnych spraw dnia świątecznego i powszedniego. Zaproponujemy nowe kryterium oceny pracowników i doboru przedsiębiorstw, rad narodowych i administracji gminno-wojewódzkiej, klerownictwa i aktywów wszelkich organizacji, związków bądź towarzystw społecznych: przedsiębiorcza pomysłowość jako główny dziś probierz ich przydatności.

Przyjrzymy się wykorzystaniu czasu pracy w biurach i zakładach produkcyjnych, spróbujemy wychwycić luzu i przestoje; weźmiemy pod światło przeszkody i trudności — te rzeczywiste i te dla wygody czy ukrycia niekompetencji bądź nieudolności — sztucznie wyolbrzymione. Równocześnie zaprezentujemy różne punkty widzenia na to, jak się ma wzrost wynagrodzeń do dyscypliny pracy, jej wydajności i jakości.

Będziemy ujawniać przypadki marnotrawstwa i niechlujstwa, utrudniania życia obywatelom, zaniedbywania obowiązków jednych grup zawodowych wobec drugich, wygodnictwo, paskarstwo, partactwo, wyłudzenie pieniędzy za źle wykonaną pracę.

Podjmując te tematy — jakżeż trudne, złożone i drażliwe — liczymy na pomoc Czytelników w ich przybliżeniu i wszechstronnym oświełaniu.

Nie chodzi o nagonkę na tych czy innych ludzi, ani o publiczną rozprawę z nimi, choć czasami i to by nie zawadziło. Rzecz w postawach, w zbiorowym namyśle nad tym, jak nie dać się biedzie. Jeśli to wspólne myślenie nam się powiedzie, owocując ciekawymi rozwiązaniami praktycznymi, będzie to dla nas największa satysfakcja. Czytelnikom (patrz list Pana Zdzisława Gałązki w „Kontaktach »Kontaktów«”) serdecznie dziękuję za namowę do upartych działań, za pomysły i zachęty.

Nasz cykl rozpoczynamy materiałem z Łomżyńskiego „Korgazu”, podejmującym próbę odpowiedzi na pytanie, czy rzeczywiście czas oczekiwania na dostawę gazu do mieszkań musi się wydłużać. Zdażę w nim egzamin ze swej pomysłowości dyrektora i autorka. Właśnie, jak on wypadł?

Cykl „Nie dajmy się biedzie” zaczyna się nie od jakiejś starej, dobrze znanej biedy (choć takich w Łomżyńskim nie brakuje), ale od zupełnie nowej, która zjawiała się tego pięknego lata i nosi nieprzyjemne imię „zakłócenia w dostawach gazu”. Sprawa jest tym bardziej drażniącą, że w Łomży — wyjątkowo — gazu nie brakuje i choć sławetne limity są regularnie przekraczane, zbiorniki nie stoją puste. Ludzie chodzą wściekli, ślą listy do redakcji: „Opłaty podróżowały na równo 120 złotych, to przestało się im opłacać wozić, bo nie z tego nie można już uszczknąć na piwko”.

„Panienci w letnich nastrojach wcale telefonów nie przyjmują, po prostu odtaczają, żeby nie brzęczały nad uchem”.

„Prawdopodobnie chcą doprowadzić do tego, żebyśmy ich po rękach całowali za to, że pozwolą przyjechać do nich z własną butlą. Do czego to podobne? Skandal!”

Pewnie że skandal, chociaż np. w Piotrkowskim czeka się na wymianę butli dwa miesiące, a w Bydgoszczy już drugi rok praktykuje się tzw. samodystribucję. Ale to nie wielka pociecha, że gdzieś jest gorzej, skoro jeszcze gdzieś indziej jest znacznie lepiej.

Jako że podobno prasa wiele może, redaktor naczelny zdecydował; wo-

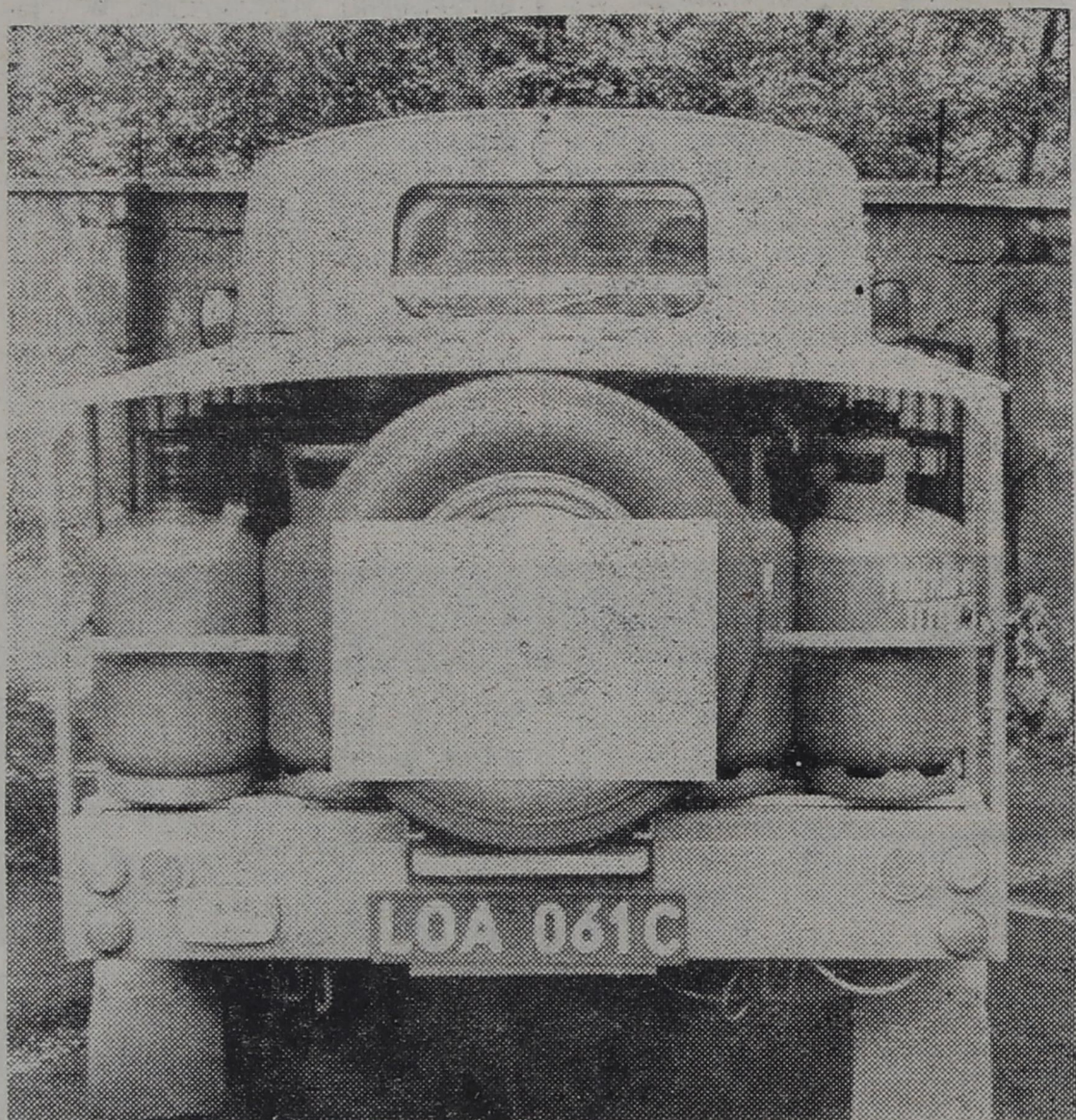
nie dajmy się biedzie

bec licznych skarg Czytelników trzeba problem rozgryźć i coś zarządzić w potrzebie. Znajomi podszczuwali mnie: „Idź, zobacz przede wszystkim, czy oni w ogóle myślą, czy widać ślad jakiegokolwiek działania. Co na to tamtejsza »Solidarność«, a co komórka partyjna”. Nie interesowały mnie jednak ani myśli PZPR na ten temat, ani jakiegokolwiek związku zawodowego, bo jeżeli przypadkowo zajęli się własnymi sprawami, to po co ich rozjuszać. Wolę, gdy zakładem rządzi dyrekcja i to niezbyt liczna, bo wtedy przynajmniej wiadomo, z kim rozmawiać, kogo atakować (ewentualnie chwalić).

Dyrektor Hieronim Ogrodnik u-przejmnie poddaje się indagowaniu. Najpierw przyczyny. Te znaleźć nie trudno. Przede wszystkim znaczny wzrost liczby odbiorców przy niezmienionej ilości taboru i obsługi. Po drugie — wyeksploatowany sprzęt i brak części zamiennych. Do tej po-

czajnej biedzie. Najprościej byłoby ograniczyć dostawę na wieś do posiadaczy tzw. trzonów kuchennych oraz przystosować ciężarówki do przewożenia butli gazowych. Nie jest to rozwiązanie uniwersalne, bo nie można nimi wjeżdżać w wąskie uliczki osiedlowe, a ponadto wymaga absorbowania dwóch pracowników. Od 1 września, gdy zelżeją przepisy i dyrektor będzie już mógł swobodnie decydować o zatrudnieniu, przyjmie dodatkowo dwóch-trzech kierowców instalatorów, aby tym samym pełniej wykorzystywać sprzęt na drugiej zmianie. Może to być jedynie doraźne rozwiązanie, bo źle konserwowane samochody długo nie wytrzymają.

Co mądrzejszego wymyślił dystrybucyjny? Np. sprawdził stan zatrudnienia. I tak w dziale dystrybucji pracuje 16 ludzi: trzech umysłowych, trzech monterów, siedmiu kierowców i trzech w obsłudze (dwie panie od-



ry, chociaż wszystko grało, ledwo nadążali z robotą — wszystko na styk, bez żadnych luzów. W lipcu nastąpiło przesilenie — braki ciepłej wody zmusiły łomżyńskich do podgrzewania jej na gazie. Do tego doszło domowe przetwórstwo. W efekcie zużycie gazu zwiększyło się dwukrotnie.

Lato to okres urlopów, także w „Korgazie”. Poza tym wolne soboty. Dystrybucja wprawdzie pracuje, ale przecież pracownik musi sobie kiedyś odebrać ten dzień. Teraz z wodą nie ma już takiego problemu, ale sytuacja nadal jest trudna, bo zaległości odbiera się powoli, a ponadto nie chce jakoś zbyt radykalnie spadać ilość zgłoszeń: w poniedziałek było ich 400, dzisiaj 355. 400 zgłoszeń dziennie to 50 na godzinę. A pracują tylko dwie telefonistki. Ludzie pomstują, a mimo wszystko tych kilka setek się dodzwoni. Jak oni to robią? Na pocieszenie mniej wytrwałym zdradzę, że dyrektor Ogrodnik obiecuje trzeci numer do dystrybucji. Coż z tego jednak, że zgłoszenia będą przyjmowane, jeżeli nie da się ich realizować? Cała sprawa rozbija się więc o tabor. Znajdźmy tu dziurę, czyli niedopatrzenie, inaczej zwane rezerwą. W tzw. taborze ciężkim sytuacja jest dobra: na 21 ciężarówek tylko cztery niesprawne i 21 kierowców — na ogół sprawnych. Gorzej z żukami. Jest niby dziesięć, ale z tego dwa zupełnie wyłączone — kasacja i kapitalny remont. W tym roku przybyły dwa nowe, ale reszta to gruchoty — niektóre na tej służbie od 1965 roku. Czas by na złom...

Nie kusiłam się o dawanie dobrych rad dyrektorowi, jak zdobyć części zamienne, choć przed godziną na naradzie w KW słyszałam, jak sekretarz POP z PKS-u oświadczył, że proponowany przedział dwudziestu nowych autobusów będzie miał postać części zamiennych. Bez karo-serii. Zapytałam natomiast, co nadzwyczajnego wymyślił w tej niezwy-

bierające zamówienia i jeden pan w punkcie napełniania butli turystycznych). Można sugerować, że trzech umysłowych to za wiele, tylko że ci ludzie i tak nie wyprodukują brakujących samochodów czy części zamiennych. Powinno się raczej zastanowić nad tym, dlaczego — „sprężyscie” od kilku lat rozwijająca się — Łomża do tej pory nie zafundowała sobie luksusu gazu płynącego rurami, szczególnie że jego źródło znajduje się na miejscu?

I tu też okaże się, że prochu nie wymyślam, bo taki pomysł zrodził się już w kilku głowach w chwili powstawania osiedla Jantar I. Były nawet jakieś rozważania i przymiarki, ale inne mądre głowy wytlumaczyły wojewodzie Jerzemu Zientarze, że nie warto, że się nie opłaca. Dziś wojewoda resortowy, Stanisław Ciupa, stara się odgrzebać we wspomnieniach prawdę czasu: — Chyba pięć lat temu były takie przymiarki. Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich, Wydział Gospodarki Komunalnej i Wojewódzka Komisja Planowania dyskutowały ten temat. Sprawa rozbiła się o ceny, ale nie pamiętam już, czy chodziło o koszty budowy, czy eksploatacji. Nie mogę się jednak zgodzić z opinią, że wojewoda nie wyraził zgody. Naprawdę nie sądzę, żeby była w tej sprawie decyzja pisana. Teraz natomiast myślimy o tym bardzo poważnie. Było już oficjalne wystąpienie wojewody do ministerstwa. Gazyfikację rozpoczniemy najpierw w nowo powstających osiedlach, a dopiero potem w Jantarze I, bo tam niezbędne są pewne przeróbki, rurarzowanie, na co musi wyrazić zgodę spółdzielnia jako eksploatator.

Przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania, Stanisław Grodzki, wydaje się mieć lepszą pamięć: — Rozbiło się o liczniki. Bo każdy obywatel powinien mieć w domu gazomierz, a wtedy wychodziła wyższa cena. Spółdzielnia Mieszkaniowa nie

wyraziła zgody, chociaż naciskaliśmy mocno, argumentowaliśmy, że to poważnie rozładuje sytuację w dostawach. Tak upadła również sprawa rozprężalni. Teraz ponownie podejmujemy ją i myślimy, że załatwimy w bieżącej pięciolatce. W Spółdzielni, po ostatniej zmianie kierownictwa, klimat jest bardziej sprzyjający.

Być może są tam rzeczywiście i klimat, i atmosfera, ale chyba już nikt nie potrafi wyjaśnić, co było wówczas. Są tacy, którzy twierdzą, że Spółdzielnia już się raz zgodziła na pokrycie kosztów tej operacji wewnątrz budynków, ale pozostał teren między blokami i tych odcinków rur nikt jakoś nie chciał sfinansować. Jeżeli natomiast chodzi o gazownię... Fachowcy twierdzą, że wystarczy w polskich wymiennie membranę. A poza tym — zamiast rozprężalni — można zrobić mieszalnię. Technicznie rzecz jest do rozwiązania. Nie stało pomyślnie i pieniędzy. Tymczasem miasta w sąsiednich województwach (Ostrołęka, Augustów) skorzystały z takich ofert i teraz mają eksploatację o połowę tańszą, a społeczeństwo — cały problem z głowy. Wypadałoby się cieszyć, że i u nas, i to już w najbliższej pięciolatce, zarysuje się taka szansa. Na razie jednak grozi nam tygodniowe oczekiwanie na dostawę gazu.

Dyrekcja tymczasem przymierza się do wprowadzenia nowej formy usługi — napełniania butli jedena-stokilogramowych na miejscu. W chwili gdy ten numer trafi do Czytelników, być może zacznie już ona funkcjonować. Samodystribucja nie jest oczywiście konieczna. Osoby, które będą chciały z niej korzystać, zostaną powiadomione o specjalnych, krótkich przeszkoleniach. Najważniejszą rzeczą jest umiejętność podłączania butli i sprawdzania szczelności. Przewóz nie jest niebezpieczny, byleby dokonywany był w pozycji stojącej.

Fama o samodystribucji poszła już po Łomży; rozbudziła wiele namiętności i sprzeciwów. „Jeżeli gaz jest pod dostatkiem, odbiorców nie muszą obchodzić trudności przedsiębiorstwa ani to, jak sobie w końcu z nim poradzi. Gaz powinien być na drugi dzień po zamówieniu. Nie możemy zgodzić się na to, żeby panowie kierowcy siedzieli na miejscu, brali ciężkie pieniądze, a klienci tur-lali butlę na koniec miasta.”

Oburzenie zrozumiałe, ale trzeba pamiętać, że jest to rozwiązanie tymczasowe, tylko dla tych, którym odpowiada odbiór własnym transportem. Ulży tym nie tylko sobie, ale i innym oczekującym. Rozwiązanie nie jest na tyle dobre, żeby je proponować jako wyłączenie (kierowcy też wolą jeździć, bo pracują na akord), ale zawsze jest to jakaś propozycja niedania się biedzie. Gdyby ktoś z Czytelników miał konkretniejszą — z chęcią wystuchamy. Najlepszym wyjściem byłoby znalezienie sposobu na uzyskanie części zamiennych do samochodów. Za taki patent padałaby do nóg wynalazcy niejedna firma.

Oburzoną na ten — nie dla wszystkich wygodny — sposób pomagania sobie i innym w kryzysowej sytuacji proponuję zimny prysznic, czyli opinię dyrektora Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Romana Riszki: — Dyrektor Ogrodnik twierdzi, że gazu nie brakuje, bo on ma pełne zbiorniki. Ale nasz wzrost zapotrzebowania na gaz jest jednym z największych w kraju. Od lat przekraczamy limity. Nie mieliśmy do tej pory z tego powodu żadnych historii, ale na dłuższą metę... Tegoroczne kłopoty z ropą mogą zapowiadać podobne z gazem. Poza tym wprowadzenie samodystribucji może się przyczynić do znacznego zwiększenia zużycia gazu. Dla rolnika przyjeżdżającego wożem na targ nie będzie problemem wzięcie kilku butli. W mieście też wystarczy wsiąść do samochodu i w kilkanaście minut mieć wymianę. Cena 105 złotych dziś nikogo nie odstrasza i nie zmusza do oszczędzania. Moja obawa, że wkrótce może dojść do limitowania gazu, nie jest chyba przesadnym czarnowidzstwem.

Trudno mi widzieć równie pesymistycznie naszą gazową przyszłość, ale jednego jestem pewna: rozsądne korzystanie nawet z tak tanich rzeczy, jak gaz czy woda, nie zawadzi. Nie szastajmy tymi dobrami, bo kiedyś może ich zabraknąć. Chyba dopiero wtedy, gdy nauczymy się żyć oszczędnie, będziemy mieli szansę stania się bogatym narodem.

DANUTA WRONISZEWSKA

Wysoki blondyn, siedzący na schodach sklepu w Szczuczynie, zwierzał się swemu kompanowi: — Wróciłem ze Stanów Zjednoczonych. Uciulałem trochę dolarów. Na pokrycie przejazdu w obie strony starczyło. Mógłbym tam pracować dłużej, ale Ameryka dobra jest dla nas tylko na odpoczynek. Gdyby tam wszystko nie było takie drogie! W pracy dobrze płacą, lecz patrzą człowiekowi na ręce. Idziesz siusiś, potracając ci; zapalasz papierosa, już to widzą. Nigdzie nie ma lepiej niż w Polsce. Mniej zarobisz, ale cię szanują bardziej niż pracę i otrzypywane za nią pieniądze. Weźmy chociażby nasze Szumowo. Kto patrzy na to, co robi naczelnik, sekretarz Komitetu Gminnego czy taka sklepowa? Sprzedaje, gdy jej towar dowiozą. Nie ma towaru, to ona odpoczywa, a półki świecą pustkami. Zamierzam się zatrudnić w punkcie skupu ziemniaków. Tam majątek można zbić przez jeden sezon. Mój znajomy dopracował się superaty wielkości prawie dwustu ton. Uczył mnie, jak można wyjść na swoje. Mówił: „Chłopie, okazja za okazją. Nawet myśleć nie potrzebu-

rzał na sklep, skąd go hałas doszedł nagle, ale w obawie, aby mu nie uciekły te ciekawe opowieści, zaczął prowokować rozmówcę do dalszych wynurzeń: — Na czym tam tak będziesz zarabiał? Gdybyś mnie trochę podszkolił, może i ja bym się też zgłosił na taki punkt?”

Blondyn z uśmiechem aż w dłonie klasnął. — To wspaniale. Potrzebny mi do załogi swój człowiek. Oczywiście, że cię uświadomię. Posłuchaj: chłopie przywożę ziemniaki; jedni furmankami, drudzy ciągnikami. Kolejka przed wagą posuwa się powoli, bo to jednak trochę trwa. Ważysz, wpisujesz do książki, wymierzysz procent zanieczyszczenia, czasami zawartość skrobi. Teraz, gdy na polach spiętrzenie wszelkich robót, każdemu z nich będzie się spieszyło do domu. Na procent mało kto zwraca uwagę, chyba że przekroczy miarkę. Ale na początek tych 10—15 procent można rąbnąć. Już od pierwszego dnia pracuje się na superatę. Co pewien czas robisz swoje podliczenia, a gdy naleci ci 30—40 ton nadwyżki, wystawiasz kwity na zaufanych ludzi, że niby to oni sprzedali te ziemniaki, a pie-

resz 8—12 ton, a resztę opychasz na lewo. Albo mówisz chłopu: „Panie, wystawia mi pan rachunek na tony, placę za tony, biorę metry, a pie-niędźmi się dzielimy”. Jednak ta pierwsza kombinacja jest lepsza, bo wtedy wszystko zgarniasz do swojej kieszeni i nikt o niczym nie wie.

Aby okopcować ziemniaki, trzeba najać ludzi. Więc co się robi? W kwitach przyjmujesz dziesięciu, dwudziestu, a w rzeczywistości — trzech, dwóch. Kto ciebie sprawdzi? Sześć, siedem dniówek ci leci? Leci. A teraz ładnie fizycznym na punktach skupu placą. Powiedzmy, odpalimy tym robotom jedną dziesiątą i oni będą zadowoleni, i my.

Kierownicy punktów skupu mają różne sposoby kombinowania. Kiedyś w Sokolach zginęło jednemu kilka wagonów ziemniaków! A przecież załadowany wagon to nie igła w stogu siana. Inny znów zakupił 80 ton słomy do okrycia ziemniaków w kopcach. Słyszysz? Aż 80 ton! Przechowywał. Było to chyba w 1972 czy 1973 roku. Najgorzej jest się wysypać, bo wtedy naliczają człowiekowi wszystko. Trzeba się tłumaczyć z każdego metra zakupionej słomy,

szkoła oszustów



— kurs podstawowy

jesz, tylko abyś miał kieszenie na pieniądze. Popatrz: zostajesz kierownikiem takiego punktu skupu. Na początku wszystkich was zbierają na spotkanie z dyrektorem. Warto go posłuchać, bo mówi, jak powinna wyglądać praca, porządek na placu. Nie musisz tego przestrzegać, lecz wykorzystywać w czasie jakiejś kontroli, powiedzmy: kiedy przyjdzie rewident z zakładu, czyli Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego. Gdy zobaczy, że w książce ewidencyjnej masz jakiś taki porządek i na placu brak bałaganu, to już z reguły wagi ci nie sprawdza. Chyba że jakiś stary wyga.”

Jest tam taki, przed którym mnie przestrzegali. Nazywa się Józef Naroński. Ten jak wpadnie, to patrzy na wszystko: na twarz człowieka, na ręce. Powinien w Stanach pracować. Tam by go docenili, ale tutaj, w tym naszym łomżyńskim grajdółku, w którym co pewien czas wybucha jakaś afeta, taki jeden człowiek nie nie robi. Do prokuratora sprawy nie dowlecze, bo zakład, bojąc się o wyciągnięcie większych afet, z miejsca ukręca łeb małemu. Ale człowieka z pracy wylać mogą.

„No, wiesz — mówił mi kumpel — ryzyka trochę jest, ale za takie pieniądze, jakie masz szansę tam zarobić, kto go nie podejmie? A teraz grosz się przyda, bo jak te ceny podkręca, to i wyższe nie będzie łatwo.”

On pracował na jednym z takich punktów. Radził mi wziąć najbardziej zaniedbany. Przyjadą z Łomży, zobacz, że harujesz w błocie, z miejsca ci będą współczuć. Powiedzą: widocznie to jakiś uczciwy człowiek, bo chciał w takich warunkach dorabiać się grosza, gdy w kraju strajki i uświadamianie ludzkiej pojęcia „godność”. Właśnie zastanawiam się, jaką miejscowość wybrać.

Stuchający go poruszył się, spoj-

niadze zbierasz do portfela. Najbardziej opłaca się wypisywać kwity na tych, którzy rzeczywiście sadzili dużo ziemniaków, ale opchnęli je czy to prywatnie, czy przeznaczili na pasze. Wtedy każdy ci potwierdzi, gdybyś wpadł (co odpukać w niemiłowane drewno), że ten i ten rolnik rzeczywiście miał tyle i tyle ziemniaków. A chłop, mówię ci, to wspinały wspólnik do interesów. Będzie dołł, dokąd się da.

Musimy tylko mieć się na baczności, aby w tym czasie nie wpadł do nas rewident, bo czasami szajba takiemu odbije i całą nadwyżkę zarekwiruje. A kto im na początku podpadnie, to już na takim jadą do końca: kontrole często mu robią i telefonicznie się dowiadują. Jak będzie coś nie w porządku, to lepiej manatki związać i przyskać na zarobek do innego województwa.

Najlepiej byłoby na samym początku dogadać się z kimś z zakładu, kto by przynajmniej informował, kiedy kontrola się udaje w teren i do jakich gmin. Wtedy uważasz i z głupich śmiejesz się w kulkę. Kolega obiecał mi dać nazwisko człowieka, z którym można się dogadać. Kiedyś szedł na koniak, 500—1000 złotych; teraz nie wiem, ile zaśpiewa. Ale on wie wszystko i informuje rzetelnie.

Niechbyśmy się dorobili te 150—200 ton superaty, co? Wątpisz? Wyciągniemy na pewno. Na 6—7 tysięcy ton — swobodnie. Policzy: 350 złotych za metr! Ameryki nie trzeba. A nie jest to jedyne źródło dochodu, chociaż na nie należy liczyć przede wszystkim, bo stwarza największe możliwości.

Pod koniec września, na początku października trzeba kupić słomę na okrycie ziemniaków. Można jej zakupić 5—6 metrów i to wystarczy. Ale po co być frajerem, jeśli i na tym da się skorzystać. Więc bie-

każdego kilograma superaty. Wówczas tylko ściśle powiązania z kimś z zakładu mogą przyczynić się do ukręcenia sprawy.

Kumpel, który mi doradzał tę pracę, zwierzył mi się, że z początku panicznie bał się kombinować. Ale później nabrał pewności siebie. Pomógł mu w tym spotkania z prokuratorem, które zakład organizuje kierownikom na początku sezonu. Ten ich poucza, jak mają pracować uczciwie, jakie za co grożą kary itd. Gdy zapędzi się w swoich opowieściach, podaje liczne przykłady i wyjaśnia, jak do przestępstwa doszło. A kierownicy słuchają, aż z ciekawości ślina im po brodzie leci. W tym roku też takie będzie. Musimy uważnie słuchać, bo podadzą nam przykłady z ubiegłego roku. A szanse zysków mamy duże, bo dyrektor Przedsiębiorstwa przyszedł z innego województwa dopiero przed rokiem chyba. Z tego, co słyszałem, nikomu nie ufa i liczy tylko na siebie. Z Zakładów niejedną, zwłaszcza z działu przyjęć ziemniaków, chce współpracować z kierownikiem punktu skupu: i tak jest podejrzan przez dyrektora, i tak. Kiedyś, jeszcze za poprzedniego, zawieźli do zakładu na przyczepie bardzo duży kamień. I co? Zważyli. Dwóch tylko chciało donieść. Ale chyba sprawa rozeszła się po kościach, choć zdjęcie tego kamienia (ktoś zrobił je z ukrycia) trafiło do prokuratora.

Dyrektor Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego nazywa te kombinacje zjawiskami marginesowymi, bowiem — jego zdaniem — są one sporadyczne. Może nie chce o nich wiedzieć, bo psują mu statystyki? A może wkalkulował je w ryzyko zawodowe, jakie niesie pod polskim niebem zarządzanie ludźmi?

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. Gabor Lörinczy

Ameryka pod



Dziadek, który okazał się starszym rodu miejscowego zaścianka, wyraźnie ucieszony, wdał się w dłuższe rozważania o rodzimych Harasimowiczach, którzy zamieszkując z dziada pradziada wieś Harasimowice koło Dąbrowy Białostockiej, rozmnożyli się tak, że mieszkało ich tam ze trzy setki o tym samym nazwisku. W siedemnastym wieku najbardziej przedsięwziętą część rodu wywędrowała na kresy i założyła drugą wioskę Harasimowice. Z tej właśnie linii wywodził się Rajmund, syn Józefa, który do czasu wojny nie ruszał się z Równego i zdołał tam jeszcze ukończyć gimnazjum.



Od rodowej historii ważniejsza wydała mu się wtedy zapowiedź dziadka, że odtąd ani on, ani brat nie zaznają głodu. Pobratymcy będą ich kolejno karmić. Prawdę powiedziawczy — cały posterunek z ziemianki przy moście bliski był śmierci głodowej, bo okoliczne wsie szlacheckie odmawiały „komunistom” strawy.

Panna Bazgierówna urodziła się w Hrubieszowie, do dziadków ze strony ojca jeździła w Kieleckie, do rodziny matki — na Śląsk, a mieszkała w Jakowiczach nad Bugiem, gdzie matka prowadziła jednoklasówkę, gdy ojciec kierował szkołą siedmioklasową w sąsiednim Litowierzu. Gimnazjum zaczęła we Włodzimierzu, a na nauczycielkę zamierzała się kształcić w Warszawie, gdzie też zjawili się z matką w sierpniu 1939 r. Egzamin piśmenny jeszcze zdążyła zdać w przerwach między nalotami, usztywniła się nie odbył. Ostatnim pociągami odchodzącym na Wschód zdążyła wyrwać się z okrajowej Warszawy.

Ale to właśnie ona, nie on, wrosnięty od pokoleń w jedno miejsce, z oporami wchodziła do Wrocławia. Brakowało jej rozległych wołyńskich przestrzeni, dusił odór spalonych ruin. Rajmund zaakceptował Wrocław jako nieuchronny wynik tego, co działo się przez poprzednie pięć lat. Nie wstrząsnął też nim widok zniszczonego Wrocławia; może dlatego, że wcześniej widział gruz Warszawy. Poza tym nie był sentymentalny, jak jego żona, nieodrodną córką swojej matki, która — wróciwszy po pierwszej wojnie z ewakuacji w głąb Rosji — zakochała się... korespondencyjnie. Najpierw były opowieści towarzyszy podróży o bohaterskim bracie, oficerze Legionów, potem wymiana listów z bohaterem, zapewnienia o podziwie, wdzięczności i decyzja o ślubie, a poznali się dopiero po tej nieodwracalnej decyzji, gdy wy-

jechali na kresy nieść kaganek oświaty.

Rajmund — w przeciwieństwie do żony, która kierowała się głównie intuicją, impulsem, wrażeniem, uczuciem — wnosil do ich związku stabilizację i rozagę. Był czynnikiem racjonalizującym uczucia i odruchy. Za punkt honoru przyjął dostrzymanie kroku filologom w znajomości najnowszej literatury i pobicie historyków na ich własnym polu.

Poznali się w czterdziestym czwartym, gdy kolejne zadanie konspiracyjne przywiodło go do Włodzimierza. Ona niemal nie wychodziła z pokoju ze strachu przed łapanką. Dopiero co udało się jej wyrwać z obozu przejściowego w Lublinie, skąd wywożono na roboty do Niemiec. Gdyby nie doktor Skarbek i jego stanowcza diagnoza, że dziewczyna jest rzeczywiście chora na epilepsję, nie wiadomo, czy mógłby powstać ten reportaż.

Przed nadejściem frontu Rajmund wywiózł pannę Jadzię z młodszą siostrą do Hrubieszowa, a sam wrócił do oddziału. Odnalazł ją półtora roku później na Kielecczyźnie, stojącą przed klasą dryblasów przerastających ją o głowę. Wiosną czterdziestego szóstego zabrała ich na wycieczkę do Gdyni. Trzeba było mieć na stoletni entuzjazm, aby w tamtych czasach (przy tamtym transporcie) wybrać się z uczniami nad morze.

Pobrali się w czterdziestym ósmym. Mieli dach nad głową, jednak nieco zbyt ażurowy wobec nadchodzącej jesieni. Dach wyremontował sąsiad z dołu, sufit załatwił Franio, żaden wiedzy młody człowiek, przybyły z podkieleckiej wsi; zamieszkał w suterenie willi. Zaproponował panu Rajmundowi usługi murarskie w zamian za korepetycje z matematyki. Dziś pan Franciszek jest inżynierem mechanizacji rolnictwa.

W ciągu pierwszego roku szkolnego pan Rajmund został zniewolony namowami żony do porzucenia przemysłu na rzecz oleśnickiego technikum, gdzie pracowała ona. Po dwu tygodniach nieposiadał się z radości: „Jadziu, już wszystko z nimi przerobiłem”. Więc tłumaczyła, jak należy rozplanować materiał, ile powtarzać, kogo i jak często pytać. W zamian zaprowadził ją na Uniwersytet i kazał się uczyć. Zajęcia na polonistyce były tak ułożone, że w żaden sposób nie można było pogodzić ich z pracą, więc zapisała się na historię. Historyczka z przypadku zbierała jednak później laury jako znakomita nauczycielka. Z technikum i melioracji wodnych, w którym pracowała z mężem przez ćwierć wieku, szli pod jej wpływem chłopcy na historię, wybierali kulturoznawstwo, uczyli się na dziennikarzy. A z urzeczenia literaturą ojczystą zrodziły się ciekawe pomysły, realizowane po lekcjach.

Po szczęśliwie zdanej sesji egzaminacyjnej pierwszego roku studiów — cesarskie cięcie. Praca, studia, Jasiek... i groźba utraty wzroku. Dwa tygodnie w kompletnej ciemności. Pół roku minęło nim świat odzyskał normalne kształty i barwy. Po niespełna trzech latach urodził się Andrzej, wbrew sprzeciwom lekarzy. I znowu dylemat: dwoje dzieci, praca i studia! Zrezygnować mogła tylko z pracy. Na pewien czas, oczywiście, bo nigdy nie wyobrażała sobie kobiecego szczęścia w zamknięciu domowych czterech ścian.

Jak dawniej z matką, chodziła teraz z chłopcami na „dalekie” spacery do najbliższego parku i na łaki nad Odrą. Z zapalem uprawiali też swoje grządki na działce. Jasiek, jak zawsze niecierpliwy, w dwie godziny po zasadzeniu groszku zaglądał, czy z ziemi nie wychodzą kiełki. Drobnym, żywym jak iskra, nie usiedziało chwili spokojnie. Absorbował dzień i noc, potrafił zmęczyć najwytrzymalszych. Powtarzał za matką, szykując obiad, formułki do zbliżającego się egzaminu z logiki, odtwarzał je znajomym. Sąsiad z dołu, z którym rodzina przyjaźniła się od początku wrocławskiego życia, nazwał go proroczko „profesorkiem”. Młodszy był jego przeciwieństwem: okragły, spokojny i przyłepny. Wachał kwiatki, dumiał nad każdym napotkanym w trawie stworzeniem, rozkochał się w domowych zwierzętach. Nie pociągały go intelektualne łamigłówki, nie lubił miasta. Sąsiad z dołu przeważał go „grubym zwierzem z pegeeru”, co okazało się prorocze tylko w części. Andrzej był długo gruby, lecz nagle stał się smukłym czarnowłosym młodzieńcem. Dziewczyna, która za miesiąc ma zostać jego żoną, powtarza, że podobny jest kubek w kubek do księcia Pepi, zwłaszcza teraz z ciem-

nym wąsem i w mundurze podchorążego. Skończył zootechnikę i prawdopodobnie będzie pracował w pegeerze.

Z dzieciństwa chłopcy pamiętają głównie oczekiwanie. Na rodziców, rzecz jasna. Przede wszystkim — na matkę. Ona powiada, że w najważniejszych latach dla ich rozwoju przełożyła ich dobro nad własne, a oni przypominają przesoloną żupę, jaką ich uraczyła uczennica zastępująca matkę. Nie jeden raz bowiem, zamiast oczekiwanej rodzicielki, zjawiała się jej wychowanka z oznajmieniem, że pani profesorka przyjdzie później.

Przyczyn było tysiące. Pierwsza była taka, że pani profesorka przez te trzy lata przymusowego oddelegowania w dzieciństwo została naładowana energią jak akumulator. Czulią się wypelniona bogactwem i pragnęła czym prędzej oddać je innym, a w zamian brać wszystko, co dostępne: wrażenia, uczucia, sympatię i uznanie.

Czasy były sprzyjające, popaździernikowe. Nowy oddech doszedł do Wrocławia, gdzie zmieniali się nie tylko ludzie, ale i samo miasto pieło się wzwyż w oczach. Pani Jadwiga popłynęła świadomością z tym nurtem historii, który po raz któryś z rzędu rzucał jej pokolenie w nowym kierunku. W swoim technikum zakładała koła Związku Młodzieży Wiejskiej. Lata całe współpracowała z Zarządem Wojewódzkim ZMW, potem z Zarządem Głównym, z prasą wiejską, która drukowała jej i o niej artykuły. Jeśli o zespoły szkół rolniczych w Pracach było głośno w swoim czasie, to min. dzięki grupie nauczycieli — humanistów, wśród których pracowała i ona.

Była to przedziwna grupa. Zamiast odbębniać lekcje — tak chętnie spychane w szkołach zawodowych na drugi plan — zamiast narzekać na złe wytyczne, złe programy, złych dyrektorów i katastroficzne pensje — oni wychodzili poza swoje obowiązki.

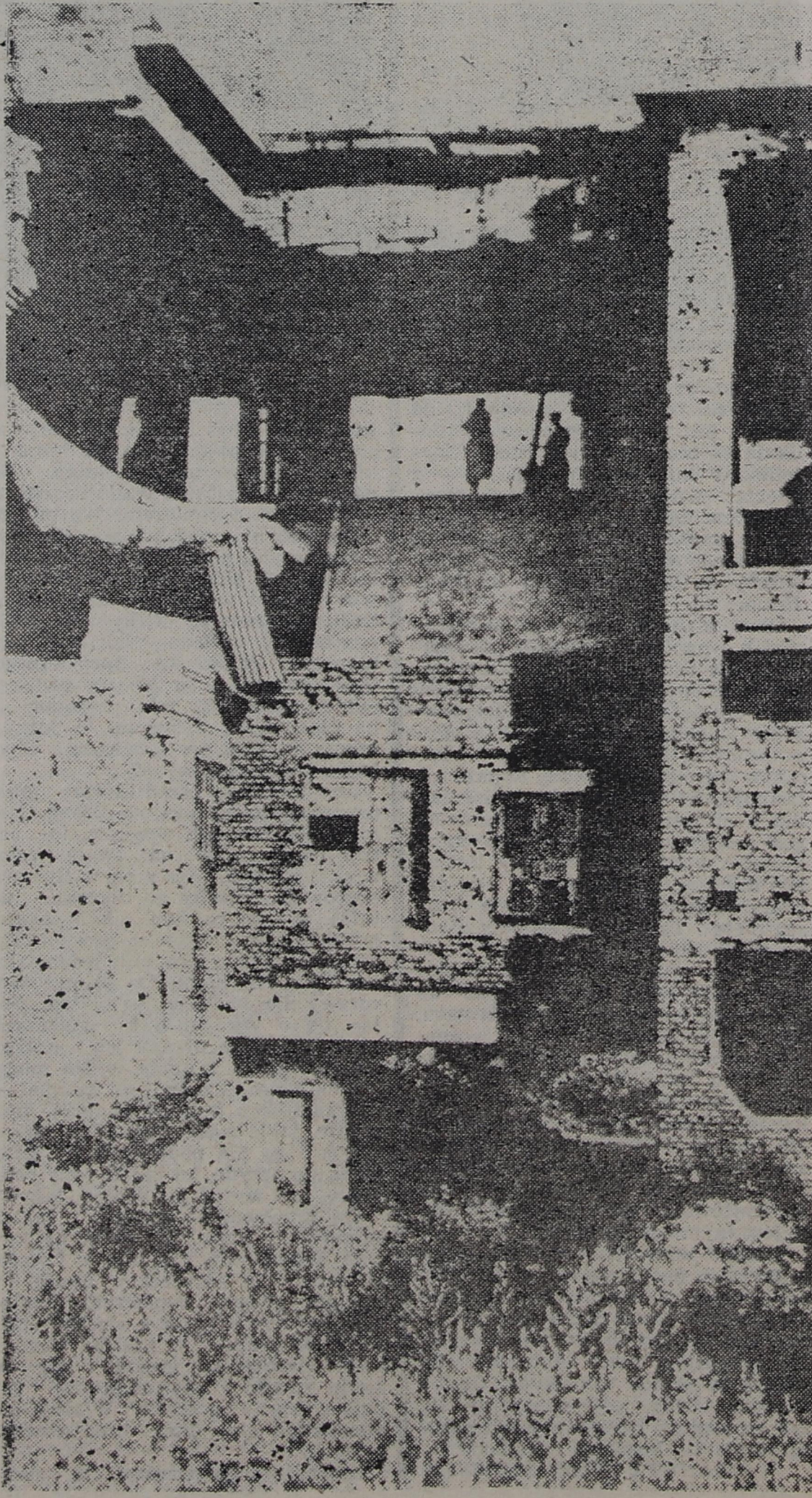
Chcieli kształtować obciążone kompleksami wiejskie dzieci na ludzi światłych, mądrych i dumnych ze swojego pochodzenia. Ukazywali im niedostrzegane wartości wiejskiej tradycji, które tamci zwykle starali się wykorzystać z siebie jak najszybciej. Pragnęli, aby takie widzenie wsi, wzbogacone o wartości kultury ogólnoludzkiej, ponieśli ze sobą po opuszczeniu szkoły.

Była jeszcze inna przyczyna, nader prozaiczna. Nauczycielskie pensje były bardzo niskie. Trzeba więc było brać nadgodziny. W olbrzymim kombinacie szkolnym w Pracach niemal proszono nauczycieli o zajęcie w szkole zaocznej, a ci nie mogli się dogadać z tymi dorosłymi ludźmi, nienawykłymi do książki, z trudem odpowiadającym na oczekiwania szkoły. Tam właśnie zadomowili się Harasimowiczowie na długo.

Na długie lata w domu przy Powstańców ustalili się następujący rozkład dnia. Pobudka o szóstej rano, jak we wszystkich domach — późniejsze ablucje, śniadania, wskazówki dla dzieci. Rodzice wychodzili wcześniej, bo dojazd do Prac zabierał co najmniej godzinę. (Godzinę w jedną stronę, godzinę w drugą. Przez ćwierć wieku ile tych godzin się zbierało?).

Dzieci jadły obiady w szkolnych stołówkach, wracały do domu i czekały. A rodzice? Po sześć-siedem godzin w szkole, a przez kilka dni w miesiącu jeszcze po sześć godzin z zaocznymi. Ona ponadto: zebranie ZMW, Klub Miłośników Teatru, spektakle wieczorne, dyskusje, spotkania z aktorami, pisarzami i dziennikarzami, wieczory poezji, wieczory przy świecach, wystawy, koncerty symfoniczne.

Weześniej zjawiał się zwykle w domu ojciec. Z niezmaconą cierpliwością odpowiadał na setki pytań, pomagał kleić modele samolotów. Młodszemu wymyślał fantastyczne historie, starszego wprowadzał w historię Śląska. Wozil chłopców do mauzo-





— Jeżeli za pół godziny nie wrócisz do domu, gdzie panuje bałagan i czekają głodne dzieci — zagroził żonie, stojącej w tasemcu do monopolowego, mieszkaniec Zambrowa — to wyniosę i sprzedam te dwie i pół skrzynki, które uprzednio wystawiłem! — Jak obiecał, tak zrobił. Ku radości koleżki i na przekór zachłannej żonie, sprzedał bez marży, czyli odstępnego, 30 butelek mazowieckiej! Prawda, to tylko dwie skrzynki. Ale czy nie za dużo wymagamy od tego dzielnego mężczyzny? Pytając o te 8 butelek dajemy wyraz własnej nierzeczności!

Prezesie geesu w Kolnie! Zyczymy udanej degustacji chleba ze sklepu w Rogiennicach Wielkich, podpadającego pod pańską firmę. Klajster absolutny. Radzimy popijać ukropem. Że nie samym chlebem żyje człowiek? Pewnie, niektórzy żyją z cudzych bólczek.

Stan budynku szkoły w Nurze jest katastrofalny. Tymczasem od dwóch lat trwa budowa nowej szkoły, tzn. w ogóle nie się w tej sprawie nie robi. Zniecierpliwionych uczniów i personel prosimy o należyty szacunek dla wzniosłej idei, bowiem wykonawca robót, Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, wznawia tym sposobem budowę szkół 1000-lecia. Oryginalność pomysłu w tym, że „tysiąc” nie dotyczy liczby obiektów, lecz lat wznoszenia każdego z nich.

Receptę na dobrobyt proponuje sklep odzieżowy przy ul. Olkowskiej w Zambrowie. Wieszaki uginają się pod ubraniami, tyle że wszystkie są jednego rozmiaru, wbrew sugestiom wieszakowych oznaczeń. Niestety, prawda i tak pozostaje naga, a klienci nie ubierają jej nawet w słowa. Po prostu — cholerują pozory.

Pomieszczenie socjalne w Ośrodku Zdrowia w Czyżewie składa się z poobijanych ścian, betonowej podłogi i pięknej, długiej wanny. Zardrości nie należy, bowiem w całym ośrodku nie ma ciepłej wody. Zaś o uczciwym stoliku i szafkach na ubranie personel marzy od lat, nie mówiąc o nowym budynku, na który oczekiwanie dojdzie niebawem trzydziestolecia. Będzie okazja do hucznego jubileuszu!

Prywatni samochodziarze z Kolna za nie mają szacunek dla lokalnego cmentarza, jeżdżąc po nim z wyciem silników. Na decybelowe wygłupy władze Kolna zareagowały ostro i natychmiast: absolutną ciszą decyzyjną.

Na prywatnych działkach ogrodników przy ul. Reymonta (osiedle Południe w Łomży) Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa ustawiła budowle z betonu i granitowej kostki, nad których przeznaczeniem głośnie się osiedlowi mieszkańcy. Wyrażając Spółdzielni informujemy PT działkowiczów, że są to przetrzymałościomierze. Wykazują, kto kogo przetrzyma i jak długo: mieszkańcy Spółdzielni czy vice versa. Stawiamy na Spółdzielnię!

Ogłoszenie drobne: ekspresowych porad z zasad spekulacji udziela nauczyciel, a zarazem wysoki urzędnik administracji szkoły nr 5 w Łomży. Referencje: 24 czerwca — natychmiastowa sprzedaż blachy za czterdzieści tysięcy, kupionej w WZGS-ie za dwadzieścia. Rozległe znajomości z personelem sklepów sprzedających deficytowe towary. Kryptonim działania: „Budowa własnego domku”. Oby nie z kart, oj, oby!

Do Nowogrodu przywieziono skórzaną kurtkę. No i się zaczęło! Przypadły do siebie ciężarna i matka karmiąca. Wygrała ciężarna, bo miała wolne ręce. Wyszarpnęła matce kurtkę — wraz z dzieckiem. Zatrzymała w rękach tylko kurtkę. Dziecko zadudniło o podłogę sklepu. Można na bazie tego faktu sformułować setki mądrych maksym. Po-przeznaczmy na slogan reklamowy: „Ciężarnym lepiej!”

leów Piastów w Krzeszowie i Legnicy, do Oleśnicy, Namysłowa i Sycowa, na miejscu przedstawiał dzieje Księstwa Głogowskiego. Nigdy nie miał samochodu, ale nie ma miasteczka na Dolnym Śląsku, nie ma ciekawszej wsi, do której by nie dojechał. Jeśli starszy wybrał potem historię sztuki za kierunek swoich studiów, była to naturalna konsekwencja tego, co poznał doskonale wcześniej. Jeśli po studiach przełożył pracę naukową nad działalnością polityczną, która przez dłuższy czas pociągała go w równej mierze, to jednym z powodów była obawa przed zmarowaniem tej obszernej wiedzy, jaką dysponował i nadzieja, że historia sztuki dolnośląskiej pozwoli mu udowodnić tezę narzucającą mu się tym mocniej, im bardziej ją poznawał. Zabytki sztuki, namacalny ślad świadomości społecznej tego regionu w ciągu wieków, dowodzą, bowiem, że Śląsk musiał wrócić do Polski, jeśli chciał utrzymać swoją świetność kulturalną, czyli swoją świetność w ogóle.

Rodzina milczy solidarnie na temat, jak układał się podział ról rodziców — w idyllicznej zgodności poglądów czy wśród burz i błyskawic. Chłopcy nie ukrywają jednak, że wzrastali w opozycji wobec społecznego entuzjazmu matki. Gdy na dworcu przypadkowo spotkali turystę rumuńskiego, udającego się do Warszawy, zakładali się, za ile dni zjawi się u nich w domu.

Dom zawsze był pełen ludzi. Przychodzili aktualni i byli uczniowie, wpadali na minutkę nauczyciele z Wrocławia i z całego kraju, będący przejazdem w tym mieście, koleżanki z ławy szkolnej i towarzysze wycieczek zagranicznych.

Przychodziła też masa listów. Matka utrzymywała korespondencję z oszalałą liczbą osób i instytucji. Poza tym pisywała artykuły fachowe i publicystyczne, uczestniczyła w konkursach i dostawała nagrody, brała udział w opracowywaniu podręczników i sprawdzała praktyczną ich przydatność. Jej witalność wydawała się bez granic, bo jeszcze wystarczało czasu na nocne rozmowy przy tapeczaniu matki, kulturowane i wtedy, gdy chłopcy stali się dorosłymi mężczyznami. Znał oboje koleżne dziewczyny swoich synów; zaakceptowali tę, która po długich zabiegach Jaska uznała go w końcu swoim „promyczkiem”. Halina, informatyk z zawodu, poznała swojego męża na zebraniu SZSP. On się dziwił, że dziewczyna z włosami po pas może wypowiadać się wcale mądrze na tematy ideologiczne, jej wydał się początkowo dogmatykiem. Potem zrozumiała, że to jest nadmierna żarliwość.

Młodszy, mniej zafascynowany sobą, był kojącym plastrem dla innych. Gdy brat zerwał z dziewczyną, młodszemu — dla rekompensaty — zaprosił ją na studniówkę; gdy tamten pogubił się na czas dłuższy z następną, Andrzej pocieszał ją tak długo do spóki z matką, aż została żoną Jaska. Pracę magisterską napisał

jak starszy brat, na piątkę. Tyle że ta z historii sztuki liczy prawie 500 stron, a ta z zootechniki — nieco ponad czterdzieści.

Matka napisała we wspomnieniach: „Dorośli ich przyszła tak szybko. Za szybko — myślę, oglądając się na uciekające lata. Wiadomość o decyzji syna przyjąłem z radością. Znałem zalety Halinki, widziałem jej wady, a intuicyjnie czułem, że jest kobietą życia mojego syna. Na pewno traciłem Jaska, z którym tak dobrze rozumieliśmy się. A może raczej zamykał się pewien etap, w którym ja byłem najważniejszą i najukochańszą? Wiedziałam, że muszę wejść w inną życiową rolę. Nie może być walki dwóch kobiet o uczucie mężczyzny, ale powinna być wzajemna aproba postaw matki i żony. Która z nich ma być ważniejsza? Rozsądek mówił, że żona. Z nią zaczyna nowe, samodzielne, dojrzałe życie. Ona będzie matką jego dzieci. A serce? Bolało, że po wyjeździe za granicę pieruszy list był do niej”.

— Martwiłaś się też, że w pierwszej paczce jej przysłał bluzkę, a tobie czekoladę — puentuje ścisły pan Rajmund — wtedy cię zapytałem, jak byś się czuła, gdybym to ja wysłał bluzkę mojej matce, a tobie czekoladę.

Prawda, tak było; tak bywa jeszcze dzisiaj. Choć człowiekowi przychodzi grać w życiu wiele różnych ról, niełatwo rezygnować z którejś, kolwiek, gdy odnosiło się w niej sukcesy. A jednak trzeba było przeżyć i drugie zejście ze sceny. Nie do wiary: minęło trzydzieści lat „życiowej przygody” — pracy nauczycielskiej.

Nie wyobrażała sobie zamknięcia w czterech ścianach, ale trzeba było pomóc w wychowaniu wnuka. Jasek dostał półroczne stypendium do Szwajcarii, Halina dochodziła do siebie po chorobie, która omal jej nie zabiła; chciała choć połowę etatu zastawić sobie w „Cuprum”, gdzie zaczęła właśnie informatyczne opracowanie powstającej kopalni miedzi.

Któręś z nich musiałoby zrezygnować, dlatego matka zdecydowała się odejść z Praczi. Nie tak jednak do końca! Dyrektor obiecał pół etatu. Miała doprowadzić do matury swoją klasę i dokończyć sprawdzanie programu języka polskiego dla Instytutu Programów Szkolnych.

Ale tuż przed końcem roku przyszedł nowy dyrektor. — Mam do pana trudne pytanie — powiedziała nauczycielka — na ile godzin mogę leżyc?

— A ja mam trudną odpowiedź: na żadną.

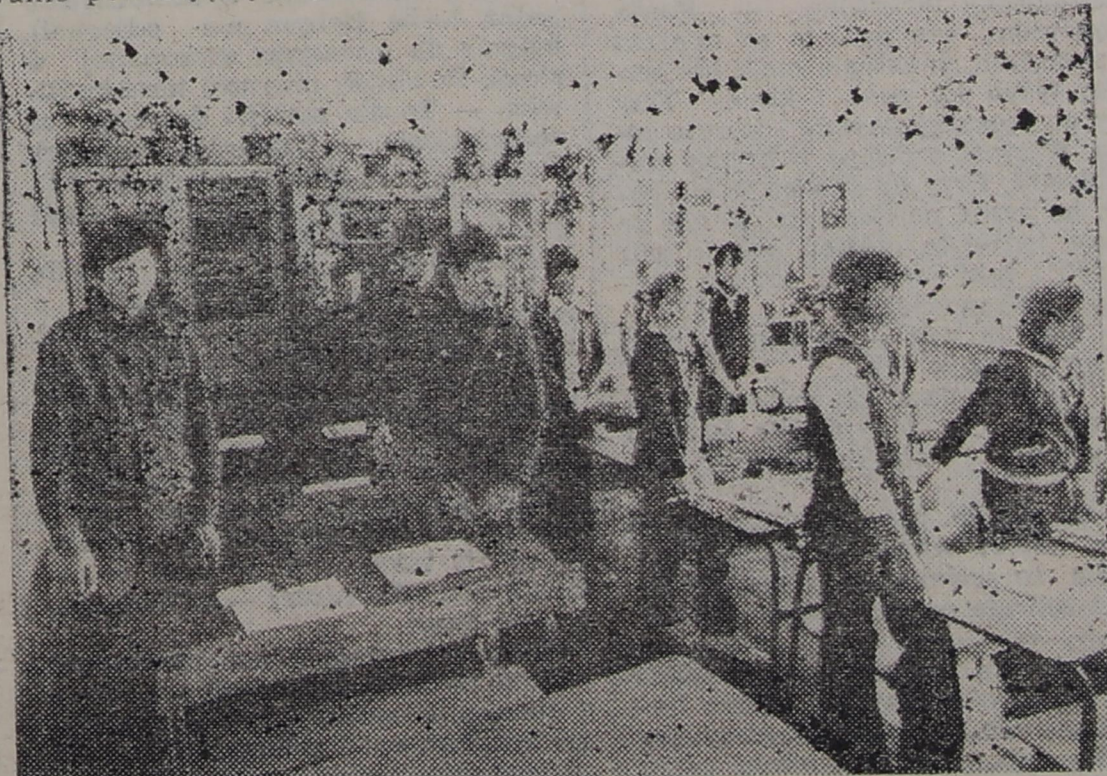
— Panie dyrektorze, ja tu pół życia włożyłam...

— No to najwyższy czas na zasłużony odpoczynek, a miejsce trzeba zwolnić młodemu.

Po wielorakich interwencjach znalazło się parę godzin w szkole dla zaocznych. Również dla pana Rajmunda, który w bieżącym roku także przeszedł na „zasłużony odpoczynek”.

Pani Jadwiga ma teraz więcej czasu na pisanie. Współpracuje z kilkoma redakcjami, zbiera materiały do monografii o zasłużonych nauczycielach techników rolniczych, ale nie może też pozabawić się kontaktem z żywymi ludźmi. Już działa w środowiskowym kole Związku Nauczycielstwa Polskiego. „Mama robi tam za nastolatkę” — śmieją się chłopcy. A pani Jadwiga w białym fartuszkach podaje starszym koleżankom ciasteczka i herbatę. Panie mają marmotne miny. Przybyły w balowych sukniach, a panów jak na lekarstwo, po dziesięć ich na jednego wypada. Debatują, jakby zlu zaradzić, wreszcie jedna wpada na pomysł: — Podchorążówkę zaprosić! Panie klaszczą w ręce: — Rzeczywiście, jak mogłyśmy zapomnieć!

Pani Jadwiga nie wie, czy chodzi o jakieś oficerskie koło seniorów, czy też paniom zupełnie czasy się pokręciły.



Reprodukcje Gabor Lörinczy

dzień dzisiejszy



POŚLIZGI

Zbyt łatwo żywą myśl o tym, jakie jest życie naszej społeczności i jakie być mogłoby, zamykamy w kagańcach „bezpiecznych” klasyfikacji. To chyba rewizjonizm, to znów anarchosyndykalizm... lepiej więc nie czytać, tym bardziej lepiej nad tym nie dumać. Inni to za nas już przyporządkowali, my zaś spokojnie spać powinniśmy, z gładką broszurką w zasięgu ręki. Niechaj chropowatości naszego życia przemysłują ci, co są na odpowiednich po temu etatach, niechaj nam wskażą szlaki przetarte. I tak wygodnie kolebią się egzystencje, tylko że po jednej, oj, po jednej każdemu z nas pisane... A przebudzenia bywają gwałtowne. I raptem wówczas się okazuje, że — przebudzeni — szukać musimy drogi po omacku, odwykli od samodzielnego mierzenia się jasną myślą z naporem żywiołów. Próbuje budować ustrój uspołecznionej gospodarki i także uspołecznionej władzy, a tyle rozłogów polskiej myśli socjalistycznej skazaliśmy przez własną tchórzliwość i lenistwo na ugorowanie.

Czy nie zobaczysz, bracie, jakiegoś światła wśród naszych burzliwości ostatniego czasu, gdy zechcesz na chwilę otworzyć chociażby pisma Edwarda Abramowskiego? Jego idee przecież nadały rysy polskiej spółdzielczości, zacierane z uporem przez — żądną wszechwładzy — biurokrację, szczególnie w ciągu tych kilku lat sprzed Sierpnia. Zepchnięcie myśli Abramowskiego w oficjalne zapomnienie ma zaś bardzo zwyczajną przyczynę — jednym z głównych jej wątków jest analiza potencjalnych niebezpieczeństw socjalizmu biurokratycznego (potencjalnych, bo Abramowski zmarł już w roku 1918). Sięgnij chociażby do słynnej jego pracy „Etyka i socjalizm” czy takich tekstów, jak „Idee społeczne kooperatywności”, albo: „Kooperatywa jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego”. Abramowski przeciwstawia uspołecznienie upaństwowieniu i powiada (to cytaty wybrane przypadkowo): „Zatamowanie rozwoju kultury ekonomicznej wskutek nieprzystosowanej do jej charakteru, sztywnej i ciężkiej organizacji urzędniczej państwa — oto pierwszy poważny zarzut przeciw socjalistycznemu postulatowi upaństwowienia.

Ale jest jeszcze drugi zarzut, większego może znaczenia. Oto ten, że państwo, biorąc w swe ręce całe życie człowieka — państwo, które karmi i odziewa, wychowuje i uczy, które jest zarazem chlebobdawcą,

nauczycielem i policjantem, że takie państwo zbyt dużo miałoby władzy w swoim ręku i że stworzone dla wolności, w gruncie rzeczy robiłoby niewolników”.

„Demokracja tam tylko wyrasta, gdzie jest potrzeba mas ludowych. Zjawia się ona jako reakcja prze-

ciwko zachłanności państwa, jako konieczna obrona samorodnych instytucji, zorganizowanych interesów ekonomicznych i kulturalnych ludu przeciwko biurokracji”.

„Członek stworzyszeń wolnych jest to typ, który życie tworzy siłami swego umysłu, charakteru, ser-

ca — i to jest obywatel demokracji. Zaś jednostka, chodząca luzem, w stadzie, jest to bierny pionek w rękach biurokracji i przywódców partyjnych, niewolnik warunków życia i typ społeczeństwa niewolniczego”.

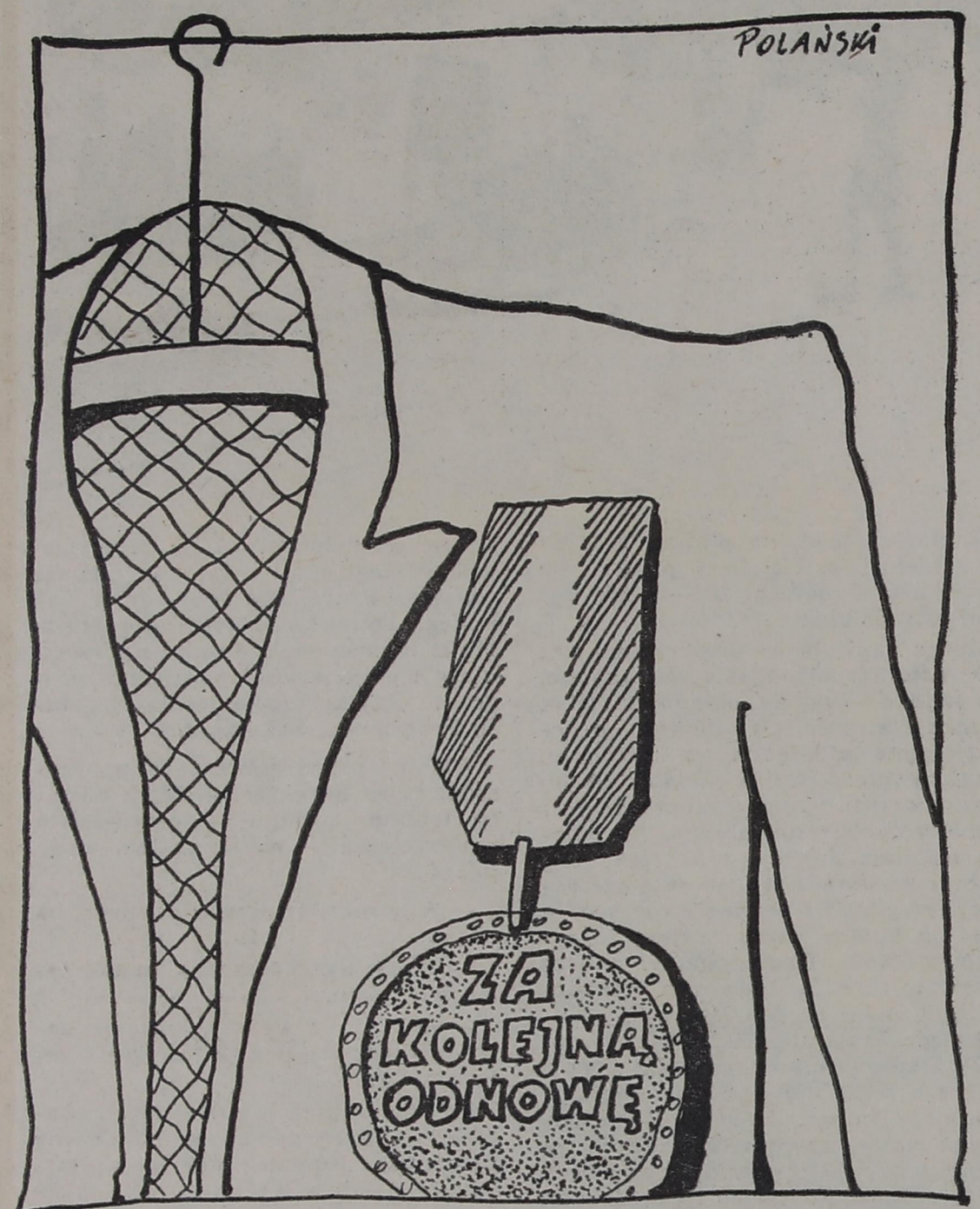
„Typ demokratyczny pożąda przede wszystkim wolności tworzenia, typ niewolniczy — chleba i i-grzysk; pierwszy usiłuje sam doskonalić i ulepszać swoje życie, drugi żąda tego od państwa”.

Niechętni interpretatorzy podnoszą przy Abramowskim zgilek, że on anarchizuje, że odrzuca państwo itd. Obiektywni, jak chociażby Wit Jaworski z krakowskiej „Kuźnicy”, zwracają uwagę, że przed rokiem osiemnastym doświadczył on funkcjonowania państwa zaborczego, a ponadto konieczność istnienia organizacji państwowej dostrzegł, na celu zaś miał ograniczenie jej władczych prerogatyw. Ciekawe jest w tej materii takie zdanie Abramowskiego: „Zarówno w interesie wolności ludzkiej, jak i w interesie rozwoju kultury jest, aby czynności władz państwowych były ograniczone do najmniejszego zakresu. Tylko rzeczy, wymagające niezbędnie organizacji przymusowej i powszechnej, jak np. bezpieczeństwo publiczne, sprawy kodeksu cywilnego i karnego, komunikacja, obrona kraju — w ogóle to, czemu inicjatywa prywatna i stowarzyszenia nie mogą podołać dla powszechnego dobra, powinno należeć, z konieczności rzeczy, do organizacji państwowej”. Widać więc, że istotne było dla niego uzupełnienie się stowarzyszeń i państwa w życiu społecznym. Czy my dzisiaj nie podjęliśmy właśnie tego dzieła? Z kolei jego krytyka koncepcji państwowości socjalistycznej, ogarniającej wszystkie dziedziny egzystencji społeczeństwa, wynikała z obawy, że nadmierne upaństwowienie spowoduje nowy podział społeczny: na biurokrację rządzącą i rządzonego ogół, i że organizacja państwowa zacznie służyć interesom nowej klasy — dysponentów środków produkcji oraz władzy. Czyż te niepokoje Abramowskiego okazały się płonne? Czy w przeobrażeniach sposobu funkcjonowania naszego społeczeństwa, jakich teraz dokonujemy, nie spełniamy w dużej mierze jego idei? A czy odrodzenie samej partii nie polega na tym, że budzi się w niej duch wolnego stowarzyszenia?

Może warto częściej kierować uwagę na różne odłogi polskiej myśli społecznej, związanej z projektowaniem nowego ustroju?

STANISŁAW KOTWICA

myśli w odłogach



Rysunek Marka Polańskiego

LISTY ZZA RZKI

WÓZ za WÓZ

Szanowny Panie Stanisławie. Wróciła moda na skrzętność. Przynajmniej tu u nas, za rzeką, co widać po pustych już prawie polach. Drugi raz siano koszą, do pługów się biorą i o siewach myślą. Pogoda się przysłużyła, ale nie tylko; również jasność w sprawie tego, na ile i jakich maszyn ludzie mogą liczyć. Kiedy się pilnie przysłuchali i popatrzyli, wyszło, że najpewniejsze będą najprostsze. No i ręce, mięśnie i flaki. Te do wypruwania. Jak dawniej bywało. I jeszcze jedno widać wyraźnie z tej skrzętności: kalkulację, przeliczanie na pieniądze. Zupełnie zdrowy odruch, tylko dzisiaj akurat powodujący zgryzotę. Płon zebrany, zabezpieczony, ręce wypoczną, ale pieniądze... co będą warte za miesiąc, za pół roku.

Wiosenne podwyżki cen skupu, szczególnie mleka, pompują na wieś niespotykane ilości pieniędzy, toteż gospodynie, po zainkasowaniu w banku swojego udziału w nawisie inflacyjnym, pędzą do sklepów i kupują wszystko. Szczególnie atakują sklepy i stoiska zwane kiedyś bławatnymi. Chyba w odwet za to, że na wsi zawsze brona była przed kompletnym bielizną pościelowej. W sklepach brakuje towarów, pieniędzy zbywa,

więc kupuje się też to, co wpadnie pod rękę i daje najmniejszą szansę, że kiedyś do czegoś się przyda. To też sklepy w gminach wykoszone są z wszelkiego dobra do gołych, zakurzonych półek. W większych miasteczkach i miastach dni targowe, szczególnie teraz, po zniwach, robią wrażenie obłąkania przez „wiochę”, co budzi całkiem określone nastroje u „miastowych” i sprawia, że kupowanie przestało być zajęciem nużącym i beznadziejnie nudnym, bo wzbogaciło się o cechy, które — za prasą i dziennikami TV — nazwać można twardym, nielutym, ale pełnym zrozumienia „dialogiem”. Całkiem jak w rozmowach władz z „Solidarnością”. Nie tych sprzed roku, niestety, ale teraźniejszych, w których niestosowanie „rozwiązań siłowych” rodziło tyle satysfakcji i nadziei.

— Jak te ludzie zrobili się niedobre — narzeka pani Janina, żona pana Bronka, kiedy podwożą ją swoją mechaniczną taradajką. — Panie, Dragowska, wie pan, ta co mieszka za zakrętem, w sklepie mnie nie pozna, tylko się pcha i klnie. Trzy razy po ręczniki stawiała i jeszcze została. Wszystkie sklepy w Łomży muszę oblecieć. Przy dywanach to się pobili, bo jedna powiedziała, że ona do miasta jedzie co tydzień, wiezie wóz towaru i taki sam wóz towaru musi do domu przywieźć.

— Wóz za wóz — mówię do pani Janiny — jak w Biblii.

— Panu zawsze do śmiechu — odpowiada nie przyjmując mojego porównania — ale co to dalej będzie?

— Obrodziło przecież i siano, i zboże, nawet warzywa. Sama pani mówiła, że szwagierka z pół hektara już zebrała pomidorów na 150 tysięcy.

— Tak, ale krowa kosztuje pięćdziesiąt, a świni nikt nie będzie hodował. Po co? Na takim drogim ziarnie? Nie opłaca się, przy mleku po 16 złotych za litr. Za pół roku co ta

Zocha (szwagierka) kupi za sto tysięcy? Bodać czy przeżyją we czwórkę drugie pół roku.

Tak wzbogacam swoją wiedzę o rozległości tego, co nazywam wielkim kalkulowaniem. I o jego determinacjach: życie jest coraz gorsze, bo ludzie wręcz niejsi. Czyści idealizm? Prawie, jeśli ktoś do warunków ludzkiego bytu nie zalicza jego (człowieka) myśli, świadomości. Pani Janina prezentuje, jak mi się zdaje, dość powszechny i specyficzny homocentryzm, bo kiedy wysiada przed swoim domem, mówi: — Ja wiem, że pan się ze mną nie zgadza, ale to wszystko wina tych z Partii i „Solidarności”. Uparli się i każdy na swoje chce przeprzeć. Żeby tak kto przyszedł i zrobił porządek, mój Boże, niechby ludzie już nie cierpieli! — Wzdycha i spogląda na mnie. Ja przeczornie milczę.

— Poczekaj pan — zaczyna innym tonem i zostawiając w samochodzie jedną torbę (żebym nie odjechał), biegnie do piwniczki wykopanej w ziemi. Po chwili przynosi torbę śliwek. — To dla małej i dziękuję za podwiezienie. — Zabierając pakunek dorzuca: — A torbę niech mi pan przy okazji odda! Dzisiaj już nawet gazet nie było w kioskach!

Jadę do siebie, do szalasu, i myślę o tym, że będę musiał pamiętać o oddaniu papierowej torbki. Zresztą, dawno już przystałem na różne konwencje w tym i taką: między znajomymi za drobne usługi i grzeczności nie płaci się pieniędzmi, ale wdzięcznością musi mieć wyraz materialny, konkretny. Rozmowa, czyli myśli i słowa, nie jest tu walutą. Przystają także mieć wartość w całym kraju albo raczej — w odniesieniu do niego.

A może inaczej? Nasza bezradność wobec rzeczywistości brać się może z nadmiaru myśli i słów. Różnych języków. Jak w Babilonie? Może, ale zestaw słów podstawowych, słownik fundamentalny, zawierać musi pew-

ną ilość terminów rozumianych jednako przez większość aktywnej części społeczeństwa. Żeby można było w miarę normalnie żyć, muszą istnieć dwa takie słowniki — socjalny i nacjonalny. Inaczej może się zdarzyć w naszej vegetacji, że przy najlepszych płonach w rolnictwie będziemy głodowali (jeśli natychmiast rząd nie zaradzi anomalii cenowym i niepewności w wyborze koniecznych kierunków „kultur” rolnych, czeka nas nie niedostatek, ale prawdziwy głód), że w policyjnym pociąg państwie będziemy sterroryzowani chamsztem, samowolą, bandytyzmem, że chlubiąc się tolerancją (jest to — moim zdaniem — mityczne nadużycie historyków), staniemy się społeczeństwem nienawiści, agresji i barbarzyństwa.

Od początku było dla mnie podejrzane, przepełnione samozachwytem gódnictwo o tym, że polski sposób na odnowę jest wyjątkowy, wzorcowy dla świata; podejrzane, bo w porównaniu Gdańska 80 z Budapesztem 56 i Pragą 68 jakby czas się zatrzymał, jakbyśmy nie, ale to zupełnie nie nie robili, czekając na przebudzenie w sierpniu ubiegłego roku. Jakby nasze (w najprostszym rozumieniu — nas wszystkich) życie polegało na zapominaniu tego, o czym wiedzieli jeszcze nasi dziadkowie, czego nie utracili, mimo nie sprzyjających warunków, ojcowie, mianowicie głębokiego poczucia niechęci, wstrętu, a nawet strachu przed programową niezgodą, pieniactwem, bezwzględnym chęciostwem i moralnym oportunistą, choćby przebranie były w najpiękniejsze szatki wzniosłości, patriotyzmu, religijności czy wolności. Nawet w tak „nieeleganckiej” dziedzinie, jaką był handel, ważniejsza od zysku okazywała się kupiecka solidarność; geszefciarz zarobił może więcej, ale bez perspektywy: dobry kupiec zawsze patrzył w przyszłość.

Pozdrawiam
HENRYK GAŁA

Wrzesień 1978 r.

Już ostatni rok będziemy uczęszczać do naszej „budy”. Jesteśmy najstarsi w szkole. Nasze koleżanki i koledzy z młodszych klas patrzą na nas z „dołu”. Od pierwszego tygodnia wzięliśmy się mocno do roboty. Przecież przed nami wybór drogi życiowej. Stąd też wielkie ambicje i walka o oceny. Zapisaliśmy do kół przedmiotowych, na których będę mogła rozszerzyć swoje wiadomości, by być dobrze przygotowaną do olimpiad. Chciałabym wziąć udział w olimpiadzie języka polskiego i geograficznej.

Chciałabym i wydaje mi się, że nie tylko ja, by wreszcie ruszyła budowa naszej świetlicy, w którym to obiekcie znajdzie się miejsce na stołówkę, harcówkę oraz pracownię zajęć praktyczno-technicznych dla dziewcząt i chłopców. Wprawdzie przy szkole znajduje się świetlica ze stołówką (na placówkę tę został zaadaptowany stary, wyremontowany budynek mieszkalny), ale obiady przywożone są z drugiej szkoły podstawowej. Jak mi wiadomo, z posiłków korzysta około stu dzieci oraz nauczyciele, lecz ilość chętnych znacznie przewyższa liczbę 100.

Budowa nowej świetlicy, z prawdziwego zdarzenia, rozpoczęła się... gdy byłam w V klasie. I cóż? Do dziś, a minęły 3 lata, stoją podmurówki. Rokrocznie składamy na budowę pieniądze, nasi rodzice deklaruja pomoc, a podmurówki jak stały, tak stoją. Materiały na budowę leżą pod gołym niebem lub przykryte zaledwie folią. Przecież to wszystko się marnuje i powoduje wielkie straty!

18 października 1978 r.

Dzisiaj moi koledzy, nie po raz pierwszy zresztą, „przewracali” przywożoną ziemię z boiska na trawnik, który musi powstać, by wyrównać poziom. Takie prace wykonujemy często podczas tzw. wolnych lekcji lub po zakończeniu zajęć.

A' propos boiska. Jest ono wyasfaltowane i pełnowymiarowe. Cwiczymy na nim podczas lekcji wychowania fizycznego. Zimą jest lodowisko, z którego korzystają nie tylko uczniowie. Takiego boiska nie ma żadna szkoła w naszym mieście, dlatego szczeniemy się nim. Zostało pobudowane także przy wydanej pomocy naszych rodziców.

30 listopada 1978 r.

Ach! Andrzejki! To był wspaniały wieczór! Zorganizowaliśmy w tym dniu klasowy wieczorek. Atmosfera, jaka mu towarzyszyła, jest nie do opisanie. Lałyśmy przez klucz wosk. Każdej wyszła inna figurka. Cóż ona oznacza? Domysły przerastały rzeczywistość. Bawiliśmy się świetnie. Czas minął bardzo szybko. I znów szara codzienność.

Kwiecień 1979 r.

Tak jakoś schodziło, że nie mogłam przysiąc do pamiętnika. Minęły cztery miesiące — miesiące wytężonej pracy. Upływa już termin składania podań o przyjęcie do szkół. Moje papiery „powędrowały” do Liceum Ogólnokształcącego. Wyboru tej szkoły jestem całkowicie świadoma, choć rozmowy z rodzicami były kontrowersyjne. Trudno mi było wybrać profil. Najbardziej odpowiadałby mi humanistyczny. Niestety, taki w liceum nie istnieje. Zdecydowałam się na biologiczno-chemiczny, nie mający żadnego powiązania z moimi zainteresowaniami. W przyszłości chciałabym, po ukończeniu liceum, podjąć naukę na studiach i jeśli będzie to możliwe — pracować naukowo.

Czerwiec 1979 r.

Dzisiaj po raz ostatni odwiedzamy mury naszej szkoły, po raz ostatni spotykamy się z nauczycielami. Kwiaty, które przynieśliśmy, nie zastąpią i nie spłaca dług wdzięczności, który jesteśmy im winni. Oni nauczyli nas pierwszych liter i cyfr, nauczyli patrzeć na świat. Kierujemy dziś do nich słowa najgłębszego uznania, jednocześnie przepraszamy za wszystkie nietakty i swawole.

Wakacje, sierpień 1979 r.

Coraz częściej myślę o przyszłej szkole, nowym środowisku koleżanek, kolegów, profesorów. Obraz idealnej szkoły śni mi się nieraz po nocach. Ale to tylko sny. A jak będzie w rzeczywistości? To pokaże przyszłość. Teraz korzystam z uroków lata.

nek, kolegów, profesorów. Obraz idealnej szkoły śni mi się nieraz po nocach. Ale to tylko sny. A jak będzie w rzeczywistości? To pokaże przyszłość. Teraz korzystam z uroków lata.

1 września 1979 r.

Każdy uczeń wie, co ten dzień oznacza. Dziś rozpoczynam nowy etap w swoim życiu. Czy będzie udany? Czy będę zadowolona? Na te pytania da odpowiedź czas.

Październik 1979 r.

Mój proces aklimatyzowania się w nowej szkole zakończył się. Stwierdzam z przekonaniem, że nie był zbyt długi i trudny. W naszej klasie znajdują się uczniowie pochodzący z różnych środowisk. To jednak wcale nie przeszkadza w nawiązaniu znajomości. Na razie profesorowie odnoszą się do nas z pewnym pobłażaniem. Ale ich stosunek do nas na pewno się zmieni.

Styczeń 1980 r.

Zbliżają się ferie zimowe i koniec pierwszego półroczia. Łączy się z tym ostra rywalizacja, a nawet

27 czerwiec 1980 r.

Koniec pierwszego roku nauki w Liceum Ogólnokształcącym. Jestem z siebie zadowolona. Znalazłam się w trójce osób naszej klasy i wśród dwudziestu jeden uczniów klas I, II, III, które otrzymały „Złotą Odznakę” za wyniki w nauce.

Wakacje 1980 r.

W tym roku dwa tygodnie przebywałam na obozie gwarownym w Nieckowie. Był to obóz zorganizowany przez Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wągów. Głównym jego celem było poznanie mowy, jaką posługują się mieszkańcy gm. Szczuczyn oraz Wąsosz. Wraz z uczniami szkół średnich woj. łomżyńskiego, ostrołęckiego oraz Warszawy i Nowego Targu pracowała młodzież czeskiego Cieszyńska. Dobrze się stało, że obóz był zlokalizowany na Ziemi Łomżyńskiej. Pozwolił on wielu osobom poznać piękno naszego regionu, niestety — przez turystów pomijanego. Wspaniałe lasy, których czarna ściana ciągnie się kilometrami, pozostały na zawsze w pamięci i

wali nam stare, nie używane już dziś, przedmioty, jak np. żelazka na węgiel. Jeden z rolników chciał oddać nawet żarna. Nagrywaliśmy na taśmę magnetofonową pieśni i piosenki oraz opisy obyczajów, które zachowały się w naszym regionie. Z wielkim przejęciem, gdy byliśmy w domu rolnika już w sędziwym wieku, słuchaliśmy pieśni patriotycznych, które deklamował i śpiewał. Najpierw „Ode do wásów”, później „Gdy król Sobieski zamknął powieki”. Byliśmy tam z panią profesorem, która się naszą grupą opiekowała. Gdy zauważyliśmy, że stary człowiek słabnie, pani profesor przysunęła powoli krzesło, by usiadł. Wtedy spojrzał surowym wzrokiem i powiedział: „Są pieśni, które śpiewa się tylko stojąc”. To była dobra lekcja historii!

20 sierpnia 1980 r.

Dziś w informacji podanej przez telewizję dowiedziałam się o strajkach na polskim Wybrzeżu i w wielu innych miejscowościach Polski.

30 sierpnia 1980 r.

Strajki trwają nadal. Z niecierpliwością oczekuję informacji, która przyniesie wiadomość o zakończeniu negocjacji komisji rządowych ze strajkującymi. Podczas tych niespokojnych sierpniowych dni zajrzeliśmy prawdzie w oczy. Jest to prawda okrutna. Niemniej jednak uważam, że gdybyśmy znali zadłużenia Polski i Jej kłopoty wcześniej, nie doszłoby do takich wystąpień. Fala strajków objęła nie tylko Wybrzeże, ale niemal całą Polskę. Ja, moje pokolenie, pokolenie młodsze i starsze, nie chcę znać smaku wojny; pokolenie starsze nie chce, by powtórzył się rok 1939. Chcemy żyć, uczyć się i pracować w Polsce wolnej i sprawiedliwej, której głównym celem jest szczęście wszystkich ludzi — dzieci Polski.

1 września 1980 r.

Dziś, gdy wróciłam z uroczystości rozpoczęcia nowego roku szkolnego, usłyszałam w radiu komunikat. Pomyślna i szczęśliwa wiadomość! Podpisano porozumienie między komisją rządową a stoczniovcami; w dniu, który wszystkim Polakom jest dobrze znany.

10 października 1980 r.

Jestem już w II klasie LO. Na niektóre sprawy patrzę z innego punktu widzenia. W dalszym ciągu żyję sierpniowymi wydarzeniami. Wstrząsnęły mną bardzo. W obliczu narastających problemów, związanych z sytuacją społeczno-polityczną oraz gospodarczą, z narastającymi trudnościami rynkowymi i zastojem w produkcji, kierując się najżywościjszymi racjami społeczeństwa i państwa — powinniśmy przystąpić w końcu do przywrócenia rytmicznej produkcji i wykonania przypadających każdemu obowiązków. Przecież wszelkie zakłócenia w pracy czy strajki powodują tylko dalszy wzrost napięcia, godzą w stan gospodarki, prowadzą do pomniejszenia możliwości pełnego wykonania wzajemnych zobowiązań, a dalsze wysuwanie nowych postulatów, zwłaszcza płacowych bądź takich, których realizacja wymaga dodatkowych nakładów czy środków, mogą pogłębić — i tak tragiczną — sytuację Polski. W tych dniach odnowy potrzeba konsolidacji wszystkich sił. Polacy niejednokrotnie dawali wyraz umiejętności jednoczenia się. Mam nadzieję, że i teraz się porozumieją. Nie dopuszczam do siebie myśli o żadnej tragedii.

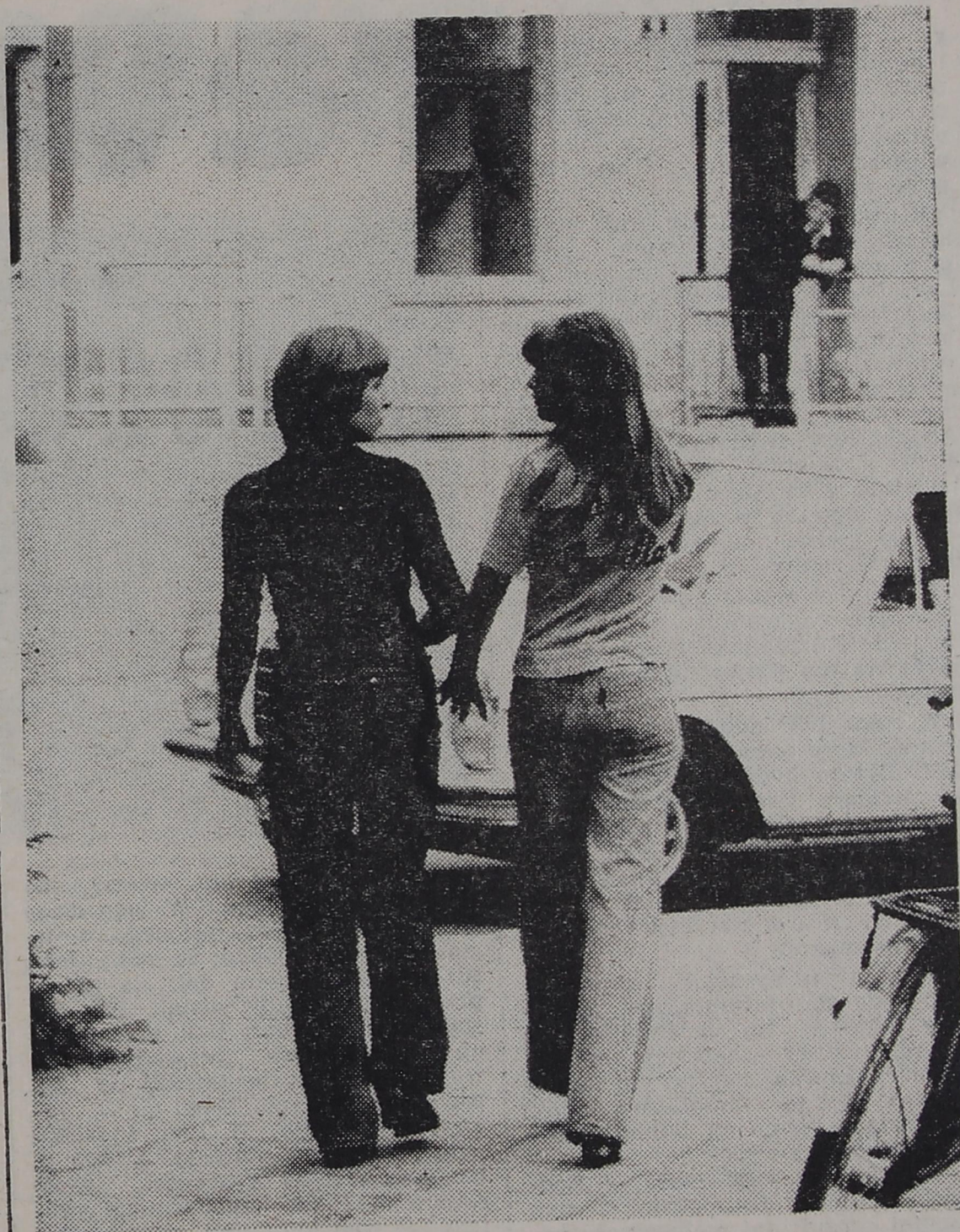
25 listopada 1980 r.

Bardzo dużo mówi się o wolnych sobotach w szkole. Chciałabym powiedzieć swoje zdanie. Uważam, że wolne soboty powinny być, ale nie wszystkie, np. dwie. Lekcje, które są w sobotę, należałoby rozłożyć na pięć dni, skracając godzinę lekcyjną o 5 minut, czyli do 40 minut i przerwy również o 5 minut. Uzyskany w ten sposób czas pozwoliłby na siódmą lekcję, a zającą kończylibyśmy w tym samym czasie, co w chwili obecnej. Gdybyśmy w ten sposób rozłożyli plan pracy, nie zachodziłaby konieczność skracania wakacji i ferii zimowych.

K.M.

Wysokie Mazowieckie
Fot. Gabor Lörinczy

nietakty



i swawole

„walka” o oceny. Nie wszystkim jednak na ocenach zależy. Są tacy, którzy pewni są czwórki czy piątki, jako że oceny te otrzymują nie za wiedzę, lecz dzięki protekcji rodziców. Chociaż stopień jest miernikiem wiedzy, nie zawsze za taką samą odpowiedź otrzymuje się jednakową ocenę. Nie zawsze też są jednakowe szanse jej poprawy. Ale niestety my, uczniowie, nie możemy na to wpłynąć, nie możemy zmienić sytuacji, a więc wypada gościć się z tym, co jest.

3 lutego 1980 r.

Dziś odbyło się zebranie rodziców powiadamiające o ocenach ich dzieci. Z satysfakcją stwierdzam, że znalazłam się w piątce najlepszych, których fotografie w nagrodę będą umieszczone w gablocie z napisem: „Nasi najlepsi w nauce, pracy społecznej i zachowaniu”.

wywarły nieprzemijające wrażenie. Nasza praca polegała na tym, by w rozmowach z mieszkańcami wsi zadawać im pytanie z kwestionariusza do badań słownictwa ludowego i zapisywać odpowiedzi. Następnie sporządzaliśmy mapki, które przedstawiały, jakie jest użycie danych wyrazów w gminie. Przez badania językowe dostarczyliśmy materiał naukowy Zakładowi Językoznawstwa PAN, który mowę mieszkańców wsi, już zanikającą, ocali od zapomnienia przez zapisanie jej w książkach.

Wielkie wrażenie zrobiła na mnie serdeczność i spontaniczność mieszkańców wsi, z którymi spotykaliśmy się na każdym kroku. Wszędzie byliśmy gorąco przyjmowani. Ludzie chętnie udzielali odpowiedzi, zapraszali do domów, częstowali mlekiem czy bułką. Niejednokrotnie opowiadali o wsi, regionie. Odda-



„Głośna sprawa kurpiowska, wy-
nikła na tle sporu w placeniu podat-
ków, będzie rozpatrywana w Sądzie
Okręgowym łomżyńskim w ponie-
dzialek 6 lipca. 18-tu oskarżonych
bronić będzie sześciu wybitnych ad-
wokatów z Warszawy oraz adwokat
Jan Lachowicz z Łomży — pisała
1 lipca 1925 roku „Wspólna Praca”,
pismo poświęcone sprawom ziemi
łomżyńskiej.

Przed trybunałem stanęli: Włady-
sław Kuliś, Józef Rudnicki, Francis-
zek Rachubka, Antoni Padecznik,
Stanisław Kobrzyński, Józef Kulis,
Bolesław Koszewski, Aleksander Ni-
kiel, Władysław Witt, Bolesław Sta-
chelek, Jan Bazydło, Stanisław
Pietruszka, Dominik Pardo, Włady-
sław Lewandowski, Jakób Jurczak,
Ignacy Zadroga, Franciszek Bednar-
czyk i Władysław Pardo.

„Na przewodzie sądowym — pisał
też sprawozdawca — sprawa straci-
ła swój groźny i ponury charakter;
natomiast w całej swej nagości u-
kazała się sylwetka przymierającego
głodem, znękanego, doprowadzonego
do rozpacz Kurpia”.

Świadczenie oskarżenia — poli-
cjanci i urzędnicy, którzy zeznawali
jako pierwsi — wzięci w krzyżowy
ogień pytań nie obronili jednoznacz-
nego obrazu zdarzeń. Gdy jeden
twierdził, że wszyscy Kurpie byli u-
zbrojeni: mieli kije, drągi, a nawet
karabiny, to inny nie mógł przypom-
nieć: byli uzbrojeni, czy nie. Mun-
durowi, którzy zatrzymali jednego
z jadących konno z Kulisów „z ka-
rabinem przewieszonym przez ple-
cy” tak go opisywali, jakby chodzi-
ło o dwu różnych aresztantów.

Także pytani o strzelaninę, mó-
wili każdy co innego. Jeden, że sły-
szał salwy oddawane przez pojedyn-
cze grupy, a miało ich być — jego
zdaniem — cztery i każda, po ilości
strzałów sądząc, miała 15—20 ka-
rabinów. Następny, że padło tylko dwa
lub trzy strzały, a poza tym nie wie,
„czy to strzelano z nadsięgającego
tłumu, czy ze strony policji”. Inni
w ogóle nie słyszeli strzelaniny.

Również liczebność nadcią-
gającej nocą gromady oce-
niano na słuch. Gwar i tu-
pot nóg był tak wielki, jakby szło
kilka tysięcy ludzi. W chwilę póź-
niej inni twierdzili: — Nie można
powiedzieć ilu szło, bo idący nie
czynili żadnego szmeru, jako że na
co dzień Kurpie chodzą w łapciach.

Zeznanie koronnego świadka os-
karżenia — byłego starosty Stani-
sława Brzęczka skompromitowało go
i jako człowieka, i jako reprezen-
tanta władzy, a także władzę samą,
że komuś takiemu mogła powierzyć
rządzenie ludźmi.

Stając przed sądem w procesie
Kurpiów powiedział on, że podatki
nałożył dlatego, że zabrakło w ka-
sie powiatowej pieniędzy: — Spadek
marki i stałe podnoszenie w związku
z tym wysokości norm podatkowych,
złe, przynajmniej, wpływał na psychikę
podatników. Gdyby nie moi policjan-
ci to pewnie niewiele bym ściągnął.

— Czy Sejmik — pytał byłego
starostę adwokat Piotr Zubowicz —
uświadamiał ludność o tym na co i-
dą podatki?

— Nie należy to do zadań Sejmi-
ku.

— A w jaki sposób mogła się lud-
ność o tym dowiadywać?

— Postanowienia były drukowane,
a zresztą uświadamienie leżało w za-
kresie obowiązków inspektora sa-
morządowego.

— Czy były protesty przeciwko
zwiększonym podatkom?

— Protesty są zawsze.

— Czy wiadomo jest panu, że po-
licja podała urzędowy raport o tym,
że ludność nie chce płacić nowych
podatków, bo ich nie rozumie i pro-
si, by przyjechał pan starosta albo
jaki inny delegat i wytłumaczył im?

— Ja nie mogę zwracać uwagi na
wszystkie drobnostki.

— Aha, to dla pana jest drobnost-
ką. Czem pan tłumaczy fakt, że w
gminie Stawiski, gdzie zabito po-
dobno 2 ludzi i 2 ciężko raniono, za-
mieszki się nie powtórzyły?

— Tłumaczę to zdecydowanym sta-
nowiskiem policji.

— Więc pan uważa, że należyte
stanowisko policji to takie, gdy strze-
la i zabija ludzi.

— Tak.

Na takich właśnie podstawach
zbudowany był akt oskarżenia. Pi-
kanterii całości dodawało jeszcze
zeznanie policjanta Lipkowskiego,
wydalonego ze służby za to, że poz-
wolił uciec aresztantowi: — Bila
tylko policja. Podczas wyłapywania,
ludzi z gromady maltretowano. Nie-
którzy do dziś mają na ciele blizny.
Gdy patrol natrafił na rannego naz-
wiskiem Malinowski, policjanci za-

miast podnieść go i przewieźć do
miasta dobili tego człowieka kolba-
mi.

Gdy sędzia zwrócił zeznającemu
uwagę, że przeczy temu, co powie-
dział w śledztwie, ten odparł: Wte-
dy my mieli takie hasło, dziś
w policji nie jestem, przysięgałem
więc, że muszę mówić prawdę.

Cóż za materiał dla wytrawnych
adwokatów, jakimi byli stający z
upoważnienia klubu poselskiego PSL
„Wyzwolenie i Jedność Ludowa”,
który poniósł koszty obrony Kur-
piów. Nie odmówił sobie próby po-
grążenia prokuratora już pierwszy z
zabierających głos jurystów, Wac-
ław Szumański.

— Akt oskarżenia — powiedział —
robi wrażenie. Noc, strzały, kome-
dy. „W tyralierkę”, „naprzód” —
wszystko to razem budzi literackie
zainteresowanie, lecz nie daje po-
jęcia o rzeczywistości, niezbędnej
dla orzeczenia sądu. Te kilka rze-
czowych dowodów w postaci dwóch,
czy trzech drażków, jeden karabin i
jeden wyszczerbiony nóż od skroba-
nia kartofli, to zbyt mało jak na
kilkutysięczny tłum, który jakoby
posiadał granaty ręczne i karabiny
maszynowe. Jeszcze mniej pierwst-
ków realnych wniosły do sprawy
mętne, często sprzeczne ze sobą ze-
znanie świadków oskarżenia.

Po tym wstępie, ośmieszającym za-
sadność stawianych oskarżonym za-
rzutów, Wacław Szumański „zagrał”
na innych strunach. Przechodząc od
szczegółów do uogólnień sprawił,
że przed sądem stanęli nie konkretnie
Kurpie, a przedstawiciele wspólnoty
historycznej, całej zasłużonej dla
kraju grupy.

Sąd zwykle bierze pod uwa-
gę — ciągnął — nie tylko fakty, lecz
i psychikę przestępcy — na tym o-
piera się prawo. Kurp ma odrębną
psychikę. I tu odwołuję się do was,
panowie sędziowie, którzy jako w
większości łomżyńscy, dobrze Kur-
piów znacie.

Kurpie, zamieszkując kraj leśisty,
zajmowali się myślistwem i sztukę
strzelania doprowadzili do doskona-
łości. Istniało przysłowie: „strzela jak
Kurp”, co znajdowało potwierdzenie
w tym, że na festyny królewskie
sprowadzano Kurpiów, którzy cel-
nymi strzałami wybijali w tarczy
drewnianej litery S. A. R. (Stanisław
August Rex). Wnosząc z tej tra-
dycji strzelania, Kurpie nocą 11
kwietnia albo strzel do góry, al-
bo nie strzelali w ogóle, skoro po
stronie policji nie był nikt ani za-
bity, ani ranny [...].

Następnie Wacław Szumański u-
dowodniał — powołując się na histo-
rię — że Kurpie jako grupa etnicz-
na żywią dla prawa ogromny sza-
cunek.

W roku 1533 nadano im prawo
bartne, które obowiązywało do roku
1831. Był to kodeks szczególny —
przeróżający swą surowością, ale i
wzbudzający podziw mądrością i
celowością zawartych w nim sformu-
łowań. Wiele, doń przeniesiono z
niepisanego, istniejącego od niepa-
miętnych czasów, zwyczajowego pra-
wa Puszczaków.

Kurp zatem wyrastał w prawie.
Jeśli sądy starościńskie np. skazy-
wały członka tej społeczności na
śmierć, wszyscy bartnicy musieli
dotknąć sznurka, na którym zawisł
skazany. Był to symboliczny znak,
że gromada bierze na siebie odpo-
wiedzialność za wyrok.

— Przez ową solidarność — pod-
kreślił mecenas Szumański — tem
mocniej odczuł oni nielegalność po-
datków, nielegalność takiego bez-
względego fantowania, śmierć za-
bitych przez policję w Stawiskach.
Solidarność ta przebiega w owej cie-
kawej przysiędze, którą jakoby Kur-
pie składali sobie i której odpis do-
starczył sądowi świadek Jarosiński.

Tu zacytował tekst noty, który
wydaje się być autentycznym: „Po-
datków od lokali i na szpital nie bę-
dziemy płacić, cudzego nie chcemy,
ale swego nie damy, podatek grun-
towy od ziemi zapłacimy i Rzeczy-
pospolitej bronie będziemy do ostat-
niej kropli krwi”.

— A teraz — wołał obrońca —
stawiam spokojnie pytanie, czy Kur-
pie szli przeciw prawowitej władzy
i jej zarządzeniom? Czy Stanisław
Brzęczek postępował legalnie, na-
kładając podatek od głowy i każąc
płacić daninę od lokali, wtedy, gdy
prawie połowa Kurpiów mieszkała
w ziemniakach, bo tam był front,
który wszystko zrównał z ziemią?!

P. prokurator uważa, że wina
podsądnych jest „względnie” udo-
wodniona. Jeżeli miękko mówi o-
skarżyciel z urzędu, to życiowo,
śmiało można stwierdzić, że wina
ich wcale nie jest udowodniona.

Najsilniej obwiniony jest Kuliś,
przy którym jakoby znaleziono ka-
rabin, lecz cóż mówią policjanci, któ-
rzy go pojмали. Policjant Cesarz
twierdzi, że jechał stępą i rzucił ka-
rabin do rowu, policjant Nowicki,
który znajdował się tuż, utrzymuje,
że Kuliś jechał szybko klusem, a
karabin leżał na szosie i on nie
widział, żeby oskarżony go rzucał
na ziemię, trzeci natomiast policjant
Kuchejda, który nadjechał, gdy Ku-
liś był aresztowany, zeznaje, że to
on rozpoczął poszukiwania i natrafił
na karabin. Wszyscy policjanci do-
wodzą, że Kuliś miał przewieszony
karabin przez plecy na taśmie czy
drucie, nie pamiętają. Tymczasem
karabin tu leżący na stole nie nosi
żadnego śladu ani taśmy, ani drutu.
Trudno przypuścić tu jakąś zanię-
gę, gdy te ubogie dowody rzeczowe, jest
ich zaledwie kilka, musiały chyba
być dobrze strzeżone, właśnie ze
względu na liczebność swoją. Czyż
z tej bijącej sprzeczności zeznań moż-
na wydobyc prawdę, a tembardziej
stwierdzić winę Kulisia?

Oskarżonemu Rachubce policja
skonfiskowała nóż, który używano
jak widać do skrobienia kartofli, bo
jest do połowy zerżnięty. Czy i to
ma służyć jako dowód rzeczowy
„zbrojnego napadu”? Rachubka
szedł z sobą. Czy Kurp przywykły do
brodzenia po bezdrożach teraz, gdy
chciał urządzić „napad”, będzie
szedł środkiem drogi, gdzie może
być w każdej chwili ujęty?

A teraz zrobmy ogólny rzut oka
na całą sprawę. Nie jest dla nas rze-
czą obojętną, co robi tłum. Lecz w

Nasze pokolenie jest najszcześliw-
sze, bo doczekało się wskrzeszenia
Polski. Pokolenie Żółkiewskich, Czarnie-
kich nie znało niewoli, ale i nie
znali rozkoszy zmartwychwstania.
Lecz zadowolnić się jej wskrzeszeniem
to nie dosyć. Trzeba tej epoce coś
dać. Powinniśmy dać odrodzenie, a
tem naszym odrodzeniem, czyli re-
nesansem jest uświadamienie obywa-
telskie chłopu. Czy np. p. starosta
Brzęczek to uczynił? Czy p. Brzęczek
odpowiadał ideałowi starosty, skreś-
lonemu przez obecnego prezydenta
Wojciechowskiego, gdy jeszcze był
ministrem spraw wewnętrznych, a
który zawiera się w jednym słowie:
władza. To znaczy i opiekun, i gos-
podarz troskliwy. Czy p. Brzęczek
był nim skoro, nie znając stanu e-
konomicznego ludności, nakłada na
nią silnie obciążające ją podatki,
podatki według prawa nielegalne.
Wprawdzie p. Brzęczek jest techno-
logiem, na prawie się nie zna, ale
obowiązywała go przynajmniej do-
bra wola. Znam powiaty, gdzie lud-
ność uświadamiona sama podnosi
podatki o 100 proc. na nowe inwest-
ycje. Tu właśnie brakło tego u-
świadamienia, bo starosta Brzęczek
nie w tym względzie nie uczynił, na-
wet będąc do tego wezwany przez
ludność, która odmówiła płacenia
podatków dlatego, że ich nie rozu-
miała. P. Brzęczek, jak sam oświad-
czył, nie mógł się zajmować „takie-
mi drobnostkami”. I tu nie spełnił
swego zadania w stosunku do obo-
wiązującego nas wszystkich rene-
sansu — odrodzenia obywatelskiego
chłopa.

rewolta

Ok. XI. Łomża, d. 18-go LIPCA 1925 roku. № 14.

WSPÓLNA PRACA

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM ZIEMI ŁOMŻYŃSKIEJ.

Wychodzi dwa razy na miesiąc —
1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja:
Łomża, Dworna 2.
Konta czekowe P. R. O. 62950.

Proces Kurpiów

w Sądzie Okręgowym w Łomży.

tym wypadku nie nie wiemy, co
miał zamiar uczynić. W jego dzia-
łaniu było coś nieokreślonego, a u-
stalić się dało jedno, że szli. Jeśli
tu obecni oskarżeni dali się unieść
przez falę gromady, zostali już do-
statecznie ukarani: byli aresztowa-
ni, w kajdankach prowadzeni do
więzienia, wreszcie zasiedli na ła-
wach oskarżonych. Mówi się o au-
torytecie władzy. W tym wypadku
autorytetem jest starosta. A czy p.
Brzęczek stoi na wysokości swego
stanowiska? Nie. Zachowaniem swo-
jem nie zdał egzaminu, stracił gło-
wę, telefonował na wszystkie strony,
wezwał wojsko.

Panowie sędziowie, wzięwszy pod
uwagę rzeczowy przebieg wypadków
z dnia 11 kwietnia r. ub. musicie u-
niewinnić podsądnych. Tego żąda
także polityka obywatelska. Kurpie
to nasza przednia straż kresowa.
Niech nie mają poczucia krzywdy
wychodząc stąd, bo to poczucie wy-
grywać na nich mogą wrogowie
zewnętrzni. Niech wyrok uniewinni-
jący przysiędzą, którą jakoby Kur-
pie składali sobie i której odpis do-
starczył sądowi świadek Jarosiński.
Niech swego nie damy, podatek grun-
towy od ziemi zapłacimy i Rzeczy-
pospolitej bronie będziemy do ostat-
niej kropli krwi.

— A teraz — wołał obrońca —
stawiam spokojnie pytanie, czy Kur-
pie szli przeciw prawowitej władzy
i jej zarządzeniom? Czy Stanisław
Brzęczek postępował legalnie, na-
kładając podatek od głowy i każąc
płacić daninę od lokali, wtedy, gdy
prawie połowa Kurpiów mieszkała
w ziemniakach, bo tam był front,
który wszystko zrównał z ziemią?!

Jakże od postaci p. Brzęczka, sta-
rosty-włodarza, najzupełniej nie-
uspołecznionej, odbija się postać
świadka Jarosińskiego, policjanta —
obywatela, który, spełniając swe
obowiązki służbowe, wczuwał się w
tętno życia, wnikał w przyczynę
zjawisk; rzeczowe raporty przekra-
czają jego atrybucje — nie waha się
jednak tego uczynić — boli go du-
sza, nie może patrzeć na to, co się
dzieje.

Sanacja skarbu w swojej bardzo
zdecydowanej formie poderwała stan
ekonomiczny. Obszarnicy prosili o
prolongatę podatków, ordynat Za-
moyski, którego nikt o brak patrio-
tyzmu posądzić nie może — też pro-
sił o sprostowanie podatków. Tem-
bardziej więc miała prawo uczynić
to niezamożna ludność północnej
części kolneńskiego powiatu — Kur-
pie. Żyli oni przed wojną, jak nam
to wyłożył św. Jarosiński, z różnych
ubocznych dochodów, jak przemyt-
nictwo, emigracja i związane z tem
przysyłanie dolarów z Ameryki. Te-
raz to ustało. Ziemia ich, przeważ-
nie piaszczysta, nie wykarmiła ich
rodzin nawet przy posiadaniu kil-
kunastu morgów. W tabeli budżeto-
wej ich grunta szacowane są najni-
żej.

Czy p. Brzęczek postarał się o kre-
dyt budowlany i ziarno na zasiew
dla nich, czy też zapomogę pienię-
żną na zakup zboża? Nie, pan Brzę-
czek nakłada jakby na urągawisko
podatki większe niż w sąsiednich
zamożniejszych powiatach, i to w
dodatku podatki nielegalne, bo re-
gulamin wykonawczy do ustawy
wyrażnie mówi o tem, że podatki
szpitalne może nakładać minister
skarbu, po porozumieniu z ministrem
spraw wewnętrznych. Podatek po-
główny! Cóż za nonsens! Wytwo-



DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

opóźnieniem, świadomie opóźniono wyjazd z Zambrowa, doprowadzając autokar do sprawności technicznej w poniedziałek 1.06.81 roku

Niestety, w czwartym dniu trwania wycieczki przy wyjeździe z parkingu w Szczawnicy okazało się, że uszło powietrze z układu hamulcowego. Kierowca (wg jego relacji) zatrzymał pojazd i blokując koła kamieniem pracował przy usunięciu usterki. Wtedy właśnie samochód stoczył się i zawisł na skarpie, tarasując przednie wejście krzewami, o które oparł się (ktoś „usłużny” — według słów kierowcy — usunął kamień spod kół).

Sprawę niniejszą starałem się zbadać w miarę skrupulatnie i dokładnie, przeprowadzając rozmowy z zainteresowanymi osobami i sprawdzając dokumenty. Oddziały otrzymały następujące zalecenia:

1) należy dokonać dokładnego przeglądu i niezbędnych napraw autokaru „Jelcz”.

2) do dalszej eksploatacji wymieniony autokar dopuścić tylko pod warunkiem pozytywnej oceny stanu technicznego, wydanej przez rzeczoznawcę.

3) wycieczka może się odbyć przy pełnym zagwarantowaniu świadczeń na trasie, potwierdzonych odpowiednio wcześniej na piśmie.

4) biuro obsługi organizujące wycieczkę musi zapewnić pilota reprezentującego to biuro.

Ponadto polecono wyciągnięcie konsekwencji służbowych w stosunku do osób, z winy których powstały nieprawidłowości, mimo pewnych obiektywnych przesłanek usprawiedliwiających.

MIROSŁAW TYSZKA
sekretarz ZW PTTK

Od Redakcji: obszerny list wyjaśnia ze szczegółami poszczególne aspekty sprawy. Prócz jednego: jakie konkretnie i w stosunku do kogo zastosowano „sankcje służbowe” za — przypominamy — narażenie życia i bezpieczeństwa uczestników sławetnej wycieczki?

W komżyńskiej stacji ZHP przy ulicy Słowackiego odpoczywają dzieci rolników z całego województwa. Chwała tym, którzy zorganizowali i finansują to przedsięwzięcie. Jednakże ostatnie (oby jedyne) wydarzenie wskazuje na fakt, że opieka nad dziećmi powierzono osobom nieodpowiedzialnym. W dniu 18.07.81 dobiegł końca kolejny turnus w tej stacji. Większość dzieci, ale nie wszystkie, została odebrana przez osoby dorosłe. Dziesięcioosobową grupę z Ławka (gmina Wąsosz) pozostawiono bez żadnej opieki i środków do życia. Dzieci zainteresowały się dopiero przygodne osoby, które zorganizowały dla nich skromny posiłek i zapewniły całonocną opiekę. 19.07. część grupy zabrali własnym transportem — powiadomieni o losie swych pociec — rodzice, natomiast pozostałe dzieci zostały dowieszone do domów przez milicję.

Ciekawe, co wspólnego z harcerstwem mają ludzie, wykazujący tak bezmyślny brak odpowiedzialności.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

Z reguły redakcja opuszcza pierwsze zdanie listów, zaczynające się od grzecznościowych słów: „Uprzejmie proszę o opublikowanie mojego wyjaśnienia...”, traktując je jako zwrot bezpośredni do siebie. Lecz naczelnik gminy Wizna już w trzecim piśmie dopomina się o przytoczenie początku — opublikowanej w 25/81 nr „Kontaktów” — polemiki. Brzmi on następująco: „Uprzejmie proszę o opublikowanie mojego wyjaśnienia na łamach gazety nie po to, żebym wyszedł bez winy, ale po to, aby czytelnicy mogli zapoznać się z drugą stroną przysłowiowego medalu. Skoro pan redaktor na podstawie rozmów z kilkoma mieszkańcami Wizny próbował ocenić mnie jako człowieka, niech czytelnicy mają możliwość ocenić pana Stanisława Zielińskiego jako redaktora”.

Niech raczej Czytelnicy rozstrzygną, czy te kilka zdań o czymkolwiek decyduje w meritum sprawy.

Redakcja

to pytanie odpowiedzieć. Fakty następowały za szybko, żeby miały jakiś plan postępowania. Potrzebowali wyładować krzywdę. Nie wiedzieli tylko, jakimi środkami się posługiwać. Może prosić, może porozumieć się za pośrednictwem delegatów.

Na chwilę powróć do osoby p. Brzeczka. Opisuje ów krytyczny moment, kiedy stał w „otwartym oknie i wychylał się” i uważa to niemal za bohaterstwo. „Moi policjanci” — słowa godne króla francuskiego Ludwika IV, który mówił: „Państwo to ja!” Wszyscy znamy doskonale policję państwową naszą, ale sądzę, że nikt jeszcze dotychczas nie słyszał o policji p. Brzeczka. Telefonuje o wojsko, każe strzelać. Czy nad Kolnem zawisła groza socjalnej rewolucji? Nie. Mój Boże, to był przecież tylko polski chłop i sądzę najzupełniej wystarczyłoby wyjść do tłumy i przemówić. Zapewne, czyn ten byłby naprawdę bohaterstwem, bo można było otrzymać kulę od „swoich policjantów”, lecz rana ta nie byłaby większą od niepotrzebnej nikomu śmierci Malinowskiego.

Śmiem dalej utrzymywać, że tłum nie wiedział, po co idzie. To nie są ludzie znający prawo. Tłum ten w fantastycznym opowiadaniu policji urósł do kilkusetkrotnych rozmiarów. Ale należy nie zapominać, że policja była pod wrażeniem strachu, co się ujawniło w przeraźliwym krzyku, wzywającym tłum do rozjeżdżenia się. Policjanci na niemiłe pytania, czy pamiętają dobrze to i owo, odpowiadają, że nie, bo byli

zdemnerwowani. Ujawniło się to także między innymi w tym, że nie był zrobiony akt dochodzenia przy przeprowadzeniu aresztowanych. Oskarżonych nie posegregowano, na mniej lub więcej winnych, nie ustalono bowiem ich udziału w tłumie, a ich wina tylko i wyłącznie może być stwierdzona wtedy, gdy im się udowodni łączność z tłumem.

Dlatego też, panowie Sędziowie, sądzę, że wyrok wasz będzie przychylny dla oskarżonych. Sąd przysięgłych, który sądzi według sumienia i bez motywów, wydałby na pewno wyrok uniewinniający. Sąd koronny ma trudniejsze zadanie — jest skrepowany normami prawnymi, lecz mimo to jestem przekonany, że przychylicie się do wniosku obrony, proszącej o uniewinnienie.

Podczas rozpraw sądowych nie brakło scen wzruszających: jak chociażby zbliżenie się starego Kurpia Naturalisty ze łzami w oczach do mecenasa Szumańskiego po jego przemowie i wymiana serdecznego uścisku na dowód wdzięczności za obronę honoru kurpiowskiego — rycerstwa i bartnictwa.

Bardzo piękną rolę odegrało w całej tej sprawie Stronictwo Ludowe „Wyzwolenie”. Postawie Sejmu tego stronictwa zjeżdżali parokrotnie na miejsce i wiele przyczynili się do uspokojenia ludności. Pomagał im dzielnie, a raczej kierował całą akcją, członek Głównego Zarządu Stronictwa p. Krupka, który, sam pochodząc z tych okolic, doskonale znał miejscowe stosunki.

Mecenas Lachowicz przemawia ostatni i dlatego ma zadanie najniezdziwniejsze. Wystąpienie poświęca krytycznej ocenie zeznań świadków i wykazaniu sprzeczności między nimi. W stosunku do oskarżonych podkreśla momenty najważniejsze: od czego uzależnia się zebranie tłumy i w jakim momencie staje się on przestępstwem. Co do akcji tłumy stwierdzono, że był to odruch ludzi, chcących w ten czy inny sposób ulżyć aresztowanym. O ile by dowiedziono, że oskarżeni byli uzbrojeni i swoim zachowaniem i obecnością podtrzymywali tłum do oporu wobec wezwania przez policję do rozjeżdżenia się — byłoby winni. Lecz tego nie ustalono. Oskarżenie nie zostało sprecyzowane przez wadliwie prowadzone śledztwo pierwotkowe. Na tej zasadzie prosi Sąd o wyrok uniewinniający dla podsądnych.

Po krótkiej naradzie Sąd ogłasza uniewinnienie wszystkich oskarżonych.

ZENON PIECHOCIŃSKI

Reprodukcje Ryszard Piechociński

skiego, niejednokrotnie w dziejach naszych występował bohatersko — trzeba ich ze względu na ich odrębną psychikę traktować inaczej, nie jak zwykłych przestępców przeciwpaństwowych.

Przejdźmy do strony faktycznej sprawy. Czy przypisywana podsądnym wina w akcie oskarżenia znalazła potwierdzenie w dowodach? Dowodów nie ma. Są tylko pozory. Jedno tylko ustalono, że gromada była, że szła. Lojalność prokuratura tak dawno nie widziana, kazała mu ująć oskarżenie w lakoniczne ramy właśnie dlatego, że na próżno szukał dowodów winy. Nie było ich. Na próżno szukał ich kol. Szumański — nie znalazł. Mecenas Zubowicz znalazł winowajcę, a jest nim starosta Brzeczka.

Wycieczka do Kolna całej gromady — jakiś domniemany cel, lecz Sąd domniemaniem operować nie może, ani na nim się opierać.

Policja odegrała rolę pancerną, odgradzającą władzę od tłumy i wskazującego mu, że się za daleko posunął i że wrócić musi na własną drogę. Czy sposoby, użyte do tego przez policję były właściwe i godziwe — ustalić może dochodzenie, którego domaga się p. prokurator. Tyle co do udziału policji, lecz było używane i wojsko. Przepisy wyraźnie ustalają, kiedy używać policję, a kiedy wojsko. Przepisy te muszą istnieć, żeby nie powstały niepotrzebne nadużycia przy rzucaniu wojska na rynek wewnętrzny, żeby je nie demoralizować, skoro zadaniem jego

jest służyć ojczyźnie na zewnątrz. Thierris — Francuz powiedział, że na bagnietach można się czasem oprzeć, ale niepodobne siedzieć, a tembardziej spoczywać. Dlatego użycie wojska obarcza wzmoczoną odpowiedzialność władze państwowej.

Działalnością p. starosty Brzeczka dłużej zajmować się nie będę, wobec tego, że kolega senator Zubowicz poświęcił mu sporo ciepłych słów. Uprzątnijmy sobie tylko sytuację. Już 9 kwietnia uznano w Sejmiku na skutek interpelacji o we podatki za wygórowane, a tymczasem w gminach dalej fantowano gorliwie.

Pozwól sobie na wyrażenie mojej radości, że pochod ten odbył się w dzień powszedni, gdyż ograniczył się do tej gromadki, która pierzchała na wezwanie policjantów, czy też ich strzałów. Sądzę, że gdyby hasło to rzucone było w niedzielę, gdy ludzie wychodzą z kościoła, byłby ten pochod o wiele liczniejszy, bo pociągłaby i kobiety, a za nimi dzieci. Tylko, że wtedy policja miałaby o wiele trudniejsze zadanie. A mogło się to stać, tem bardziej, że przy fantowaniu najbardziej zabierano rzeczy, stanowiące gospodarstwo kołobocze: spódnice, płótno, pościel.

A teraz pytanie, jak fantowano? Tu przypomnieć muszę opowiadania o tych egzekucjach św. Naturalisty — człowieka starego, któremu, jak sam mówił, niewiele już zostało na tym świecie. Ten twardy człowiek, opowiadając o scenach fantowania, których był świadkiem, płakał. Te łzy zaciążyć muszą na Waszym wyroku, panowie Sędziowie.

Fantowanie wywołuje na wsi odruch oburzenia i sprzeciwu. Zbiera się gromada. Idzie do Kolna. Po co? Oni sami wtedy nie umieliby na

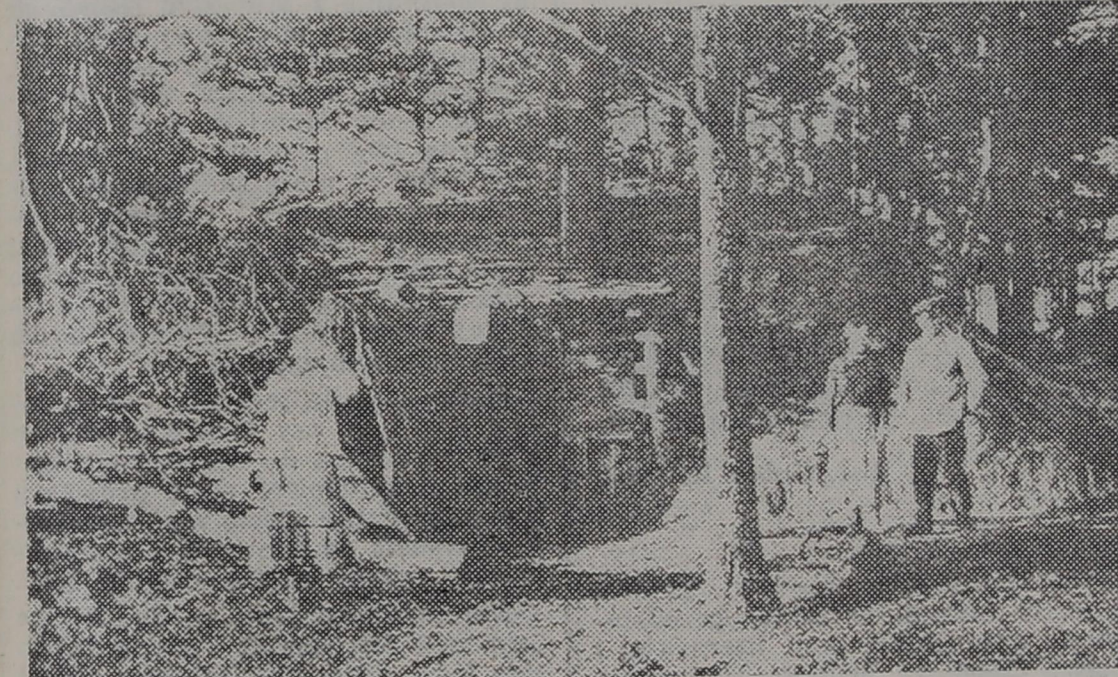
rzyla się więc taka sytuacja, że obywateli, mających nieliczne potomstwo, płacił znacznie mniej od swego parobka, który był obarczony wielką rodziną. Podatek od lokalów! Cóż za ironia! Połowa prawie wsi nadgranicznych mieszka w ziemiankach, w dawniejszych okopach niemieckich, bo nie mają za co się pobudować, a p. starosta nakłada podatki od tego, co nawet mieszkaniem nazwać trudno! Podatki te wywołują w Sejmie interpelacje posłów.

Literatura nasza zna już taki bunt, a opisał go z nieporównywalnym talentem Reymont, który otrzymał nagrodę Nobla za swą powieść pod tytułem „Chłopi”. Ten doskonale znawca duszy chłopskiej daje nam obraz zbiorowego wystąpienia wsi. Lecz tam też nie jest organizacja, a po prostu gniew ludu. Jest tak samo, jak w obecnej sprawie — odruch tylko.

Tłum się zebrał, idzie. Cóż robi p. starosta Brzeczka? Znając dobrze psychologię tłumy wychodzi doń z zapytaniem, ze słowem uspokojenia. Bynajmniej! On każe strzelać. Za podobną sprawę generał Czikel dostał 3 miesiące twierdzy. Pochopnie strzelać do tłumy nie wolno!

I gdzież to tak wrogo odnoszą się do ludności wiejskiej? Czy w kraju okupowanym? Niestety, we własnym i to w dzielnicy, położonej o kilka kilometrów od granicy pruskiej, gdzie w lot chwytają takie sprawy, gdzie Niemcy weszli rebelię ludu polskiego, bo im to na rękę.

w łapciach



Mówi się o winie podsądnych, ale nie dostarcza się dowodów. Policjanci, ci jedyni świadkowie ówczesnych zjść, nie umieją nawet dokładnie powiedzieć, kiedy, kto, kogo i gdzie schwytał, z czego wychodzą takie sprzeczności jak to na przykład, że Kulis był schwytyany o 8-ej i o 9-ej, i o 11-ej, i 12-ej godzinie w różnych miejscach. Sąd opiera się w wyrokowaniu na dowodach, a dowodów nie ma. Jedynym więc orzeczeniem Trybunału Sprawiedliwości może być wyrok uniewinniający i o taki proszę.

Mecenas Paschalski: — Zaczynam od osobistych wrażeń, któremi pragnę się podzielić z Sędem. Sprawy kryminalne, do których i obecna się zalicza, zwykle budzą w nas grozę — jako zbrodnie, lub wstrząsają naszą psychiką różnymi konfliktami życiowymi, które rozwiązania szukają aż przed kratkami sądowymi. Lecz sprawa tocząca się tutaj, żadnego z powyższych uczuć w nas nie budzi. Przeciwnie, sprawia na nas wrażenie jakiegoś głębokiego snu.

Wszystko razem i puszcza w przepięknym ujęciu kolegi Szumańskiego, i bojowa akcja policji z akt oskarżenia, i rzeczowe dowody w postaci 2 drążków, jednego karabina i obgryzionego nożyka — robi wrażenie, że cieśla, który stawiał zręby i fundamenty tej sprawy, budował je źle, krzywo, nieudolnie. I dlatego wywołuje wrażenie snu tak głębokiego, że dotyka on nie tylko obrońców, lecz dosięga Sądu i Prokuratora.

Przypomina mi się książka czytana w dzieciństwie. Jedno z 12-tych opowiadań o czynach bohaterskich opiewało jakieś zwycięstwo Kurpiów. Jeżeli przedostali się do historii i, jak słyszeliśmy od kolegi Szumań-



Monice Brzusień, autorce felietonu o tytule: „Miłoszowanie” („Kontakty” 31/81 z 9 sierpnia br.), przesyłam pewien anonimowy cytat: „Patrzcież mi na tych zbytecznych! Chorzy są oni zawsze: rzygają żółcią zważ to gazetę. Pożerają się wzajemnie, a strawić się nawet nie zdołają. [...] Unikajcie tej złej woni. Uchodźcie od oparu tych ofiar ludzkich! Otworem stoi jeszcze ziemia dla dusz wielkich”.

Wprawdzie szkoda go na taką okazję, bo ani treść, ani zwłaszcza forma felietonu nań nie zasługują, ale niech będzie testem sprawdzającym, czy rzeczywiście bawelniano-texasowe szatki świadczą o obcowaniu z poezją.

MANIEK BRZUCHO
Łomża

Z przykrością i zawstydzeniem przeczytałem artykuł Moniki Brzusień pt. „Miłoszowanie”. Z przykrością, gdyż świadczy on o niskiej kulturze autorki starającej się zniszczyć w oczach opinii publicznej poetę Jana Kulkę, autentycznego i uczciwego działacza, pragnącego coś wartościowego robić dla Łomży i jej kultury. Z zawstydzeniem, bo jestem właśnie jednym z tych „wybrańców” literatów, którym to autorka z taką złością wytyka fakt, iż zafundowano im pobyt w hotelu „Polonez”, że mieli darmowe obiady, zwrot kosztów podróży, a nawet spotkania autorskie... No, proszę, skandal! p. Monice nie zafundowano.

Właściwie ten artykuł, a raczej paszkwil, wcale mnie nie zaskoczył. Od dawna byłem ciekawy, kiedy to małomiasteczkowa kołtunerka zaatakuje poetę. Za wysoko wysunął głowę ponad łomżyńskie piekielko, trzeba go więc ściągnąć w dół, trzeba mu udowodnić, że jest jedynie „pieniądźbiercą” i cwaniakiem. A tę imprezę o zasięgu ogólnopolskim, z udziałem laureata Nagrody Nobla, o którego obecność na swym terenie zabiegało wiele miast polskich i europejskich, zorganizował tylko dla siebie, tylko dla swojego własnego interesu. Aby tą tezę udowodnić, stworzono w Łomży nowe określenie: „miłoszowanie”, które w istocie rzeczy polega na pomniejszaniu wartości poezji Czesława Miłosza i wszystkiego, co jest z ową poezją związane. Nie chodzi tu o jakieś ambitne próby krytyczne. Aby pisać o twórczości laureata Nagrody Nobla, trzeba się chociaż trochę na tej twórczości znać. Jak wynika z tekstów drukowanych na łamach „Kontaktów”, autorzy artykułów pt. „Miłoszowanie” nie grzeszą specjalną wiedzą, ale posiadają tupet, którego istotą jest pragnienie pomniejszenia i lekceważenia imprez związanych z pobylem Miłosza w Łomży oraz obrzucenie błotem głównego organizatora, poety Jana Kulki. Trudno sobie wyobrazić niektórym ludziom, iż są tacy, którzy coś chcą zrobić bezinteresownie, nie pracując w aparacie kultury czy władzy.

Pani Monika Brzusień, dla realizacji swojego celu zniesławienia Jana Kulki, stosuje metodę prostą i wiele razy już przez innych wypróbowaną. Jest to metoda plotki, donosu, insynuacji pt. „Wiesć łomżyńska niesie”. Chodzi o to, aby udo-

wodnić, że Główny Organizator handlował książkami Miłosza i na tym nielegalnie zarabiał. Metoda donosu: „zaprosił Michnika, działacza KOR” (niech się dowiedzą tam, gdzie potrzeba); metoda insynuacji: zorganizowana przez Kulkę impreza literacka nie miała sensu, bo ludzie ciągnęli, aby tylko zobaczyć Miłosza, a zaproszenie literatów i poetów do Łomży nie ma właściwie żadnego znaczenia dla kultury i społeczeństwa, jest tylko zaspokojeniem ambicji dwóch „miłoszowców”, czyli wicewojewody Ciapki i Kulki. Itd. Kiedy człowiek to czyta, nie chce wierzyć własnym oczom.

kulturotwórczymi wykraczającymi poza miasto i region.

P. Monikę fascynuje pytanie, ile Jan Kulka na tej imprezie zarobił, a „miłoszowanie” jest dla niej serią małych skandali: kto był, a kto nie był zaproszony, kto wojewodzie pisał tekst powitania, dlaczego pani ta a nie inna uczestniczyła w spotkaniu itd. A wszystko dlatego, żeby — z prostej zawiści — zniszczyć, zniwelować, pomniejszyć, zdeptać człowieka, który swoją indywidualnością i talentem ją przerasta. Jakże stare to zjawisko i jakże powszechne.

DIONIZY MALISZEWSKI
Ostrołęka

Miłoszowanie



JAN KULKA

Fot. Gabor Lőrinczy

Panią Monikę Brzusień (prawdę mówiąc — myślę, że jest to pseudonim osoby, która atakuje ukrywając swoje nazwisko) nie interesują takie fakty, jak wydawnictwa związane z twórczością Miłosza, audycje telewizyjne o pobycie poety w Łomży i na Ziemi Łomżyńskiej czy dziesiątki artykułów w prasie społeczno-kulturalnej i literackiej o Łomży i jej problemach. Nie interesuje jej sympatia, jaką — dzięki działaczom pokroju Jana Kulki — zdobywa Łomża w szerokich kręgach polskich pisarzy i intelektualistów, ani opinia o jej społeczeństwie, które w Polsce uchodzi za ambitne, chłonne, otwarte na cały kraj, z aspiracjami

Wyrażamy zdecydowany protest przeciw formie, w jakiej przedstawiono organizację sesji literackiej i pobyt Czesława Miłosza w Łomży. Forma ta, wykraczająca poza przyjęte dobre tradycje felietonu, traktuje o koledze Janie Kulce w sposób, który nie przysparza redakcji społecznego zaufania.

Rada Programowa MDK
Domu Środowisk Twórczych
w Łomży

Nie miałam zamiaru niszczyć Jana Kulki, którego darzę życzliwo-

cią, lecz pomoc mu w lepszym organizowaniu imprez. Nadal obciążając przy twierdzeniu, że większym pożytkiem byłoby dofinansowanie działalności Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego, DKF-u czy Towarzystwa Naukowego niż fundowanie sesji literackiej. Ponieważ jednak do sesji doszło, chciałoby się, aby dała optymalne dobro. Moim zdaniem, tak się nie stało. Zatem — w sposób przyczynkarski — ukazałam jej wady, aby uczulić na nie Jana Kulkę i lokalnych decydentów kultury, potencjalnych organizatorów i odbiorców, a w rezultacie — poprawić jakość podobnych zamierzeń.

W tekście nie pojawiło się ani jedno określenie degradujące poezję Miłosza; nie miałam też takich intencji, bowiem stawiam ocenę tej twórczości w ogóle poza nawiasem moich tekstowych zainteresowań.

Jan Kulka otrzymał pieniężne wynagrodzenie za przygotowanie sesji, czego nie mam nikomu za złe i bynajmniej nie dociekam wysokości kwoty, ale to wynagrodzenie upoważnia mnie do surowszej oceny efektów jego pracy.

Nie zamierzałam udowadniać, że główny organizator handlował książkami. Wskazałam jednak na liczne głosy, które wspomnieniu po sesji nadały — niepożądane chyba — odciśnięcie emocjonalne i wartościujące. Być może jednoznaczna informacja prasowa bądź wygłoszona w trakcie imprezy, mówiąca o tym gdzie i kiedy zostanie sprzedany cały przydział książek Miłosza na Łomżę, pozwoliłaby uniknąć podobnych opinii.

Wynikiem jednostronnego doboru gości był brak dyskusji w czasie „Poetyckiej wiosny”. Nieliczne głosy z mównicy włączały się w chór wystawiający Miłosza. W imię niepokornych, zbuntowanych, niezależnych i nieoficjalnych powstał sesyjny produkt, wysterylizowany z różnorodności sądów i propozycji. Gdyby spotkanie z Miłoszem odbyło się w Ostrołęce, a miejscowy poeta Maliszewski stał pod drzwiami sali, wiedząc, że wewnątrz słuchają noblisty osoby mniej do tego pretendowane (wg przyjętych kryteriów), czy byłby to mały skandal? W łomżyńskim „Bonarze” chłoneła Miłosza pani adwokat, a pod klubem stał m.in. poeta Tadeusz Mocarski rodem z Łomżyńskiego, były sekretarz redakcji miesięcznika „Poezja”, bo dla niego nie było zaproszenia.

Pisząc o sesji literackiej nie myślałam nad tym, czy będzie to felieton i jak się on ma do tradycji tego gatunku. Interesował mnie problem i jego adekwatne ujęcie w słowa. Gdybym wyszła od formy, być może rezultaty byłyby równe efektom sesji.

Nie powiedziałam, że Jan Kulka „zaprosił Michnika”. Stwierdziłam sam fakt zaproszenia, główny akcent kładąc na manipulację nazwą „Biuro Organizacyjne”, a nie na osobę zaproszonego, którego radykalne otoczenie bywało nie raz w Łomży i nikt z zapraszających nie został z tej racji poświadczony o antysocjalistycznym nastawieniu.

Załużę, że w podjętej ze mną dyskusji znalazło się tak mało zarzutów merytorycznych.

MONIKA BRZUSIEN

skrzyżowania skrzyżowania huśtawka życia ze snem

Pies, cichutko warcząc, błagalnie dopominał się o spacer. Zrzuciłem piżamę i, pospiesznie wciągnąwszy ubranie, zadośćuczyniłem jego prośbie. Wychodząc z klatki schodowej ze zdumieniem ujrzałem bujne krzewy różane, przykuwające wzrok dziesiątkami wspaniałych kwiatów. W nozdrza uderzyła symfonia cudownych zapachów róż. Pies wydał mi się równie zaskoczony. Najdziwniejsze, że jeszcze poprzedniego dnia wieczorem, kiedy spacerowaliśmy po naszym szarym podwórzu, nic na nim nie było, oprócz kilku popsutych i odra-

pianych huśtawek. Teraz huśtawki stały także, ale naprawione i fantazyjnie pomalowane.

Jezdnia, widocznie świeżo zmyta, lśniła czystością, podobnie jak chodnik. Przekrzywiony znak drogowy, który mijam każdego dnia, tym razem prezentował się niczym gwardzista przed pałacem królewskim; jego pobratymcy wyglądali identycznie. Mijany pan uśmiechnął się bardzo sympatycznie, uchylił kapelusza i ciepłym głosem uprzejmie mnie pozdrowił. Zafascynowany tym wszystkim nawet nie zwróciłem uwagi, że wszedłem na przejście przy czerwonym świetle. Biały mercedes zahamował płynnie, roześmiany taksówkarz rzekł spokojnie: — Proszę bardzo, mnie się nie spieszy.

Z kiosku „Ruchu” wychyliła się starsza pani. — Dzień dobry — zawołała — może potrzebne panu klubowe albo proszek do prania?

Dwóch młodych ludzi na widok chłopczyka, który nie wiedzieć w jaki sposób, zdążył dać kroczek na jezdnię, rzuciło się do malca. Z ogromną ostrożnością i troską przytaczali go na chodnik, a zdenerwowanej mamusi spokojnie i z humorem wytłumaczyli, jak to nierozważnie tracił choć na chwilę kontrolę nad dzieckiem. Mama ze wzruszeniem podziękowała młodzieńcom.

Na przystanku ZKM-u kierowca usłużnie wyskoczył z autobusu, pomógł wsiąść jakieś staruszcze, a w odpowiedzi na wyrazy uznania za taką postawę bąknął: — Ależ nie ma za co...

Wielka ciężarówka zatrzymała się, by ułatwić wykonanie skrętu w lewo małemu fiacikowi. Podziwiałbym dalej te cuda, ale nagle — zadzwonił budzik.

Wyprowadziłem na spacer — natarczywie szarpającego mnie za spódnie — psa. Na podwórzu od wczoraj przybyło trochę śmieci; o zapachu wołę nie wspominać. Znajomy znak drogowy pochylili się jeszcze bardziej. Kałuża błota na jezdni nie wyglądała zbyt zachęcająco, przeto zawałem się, czy w nią wejść. Spalona najwidoczniej żarówka w sygnalizatorze nie dawała gwarancji bezpiecznego przejścia przez ulicę, spojrzałem więc na drugą stronę skrzyżowania. Zielone. Postawiłem stopę na asfalcie, usłyszałem zgrzyt hamulców skody, a taksówkarz o nalanej, purpurowej twarzy, ryknął: — Gdzie leżesz, łachmyto! Jak sygnalizacja popsuta, to stój na chodniku do us... śmierci! — Na koniec, odjeżdżając, obu — mnie i psa — zbryzgał błotem. Cofnąłem się na chodnik, bo właśnie nadjechał autobus. Nagle zauważyłem, że mały

chłopczyk zmierza wprost przed jego maskę. Chwyciłem malca za kurtkę i, energicznie szarpnąwszy, zawróciłem go z jezdni. Rozindyczona paniusia, prawdopodobnie matka małego, wrzasnęła: — Puść dziecko, łobuziel! Czego się dzieci czepiasz!

Pani z kiosku, w odpowiedzi na pytanie o klubowe, z ironicznym uśmiechem znacząco popukała się palcem w czoło, patrząc na mnie niby na UFO. Tuż obok duży samochód, skręcając paskudnie, zajeżdżał drogę fioletowi jadącemu na wprost. Autobus ZKM-u ruszył z przystanku nie bacząc, że część pasażerów właśnie doń dobiegła.

Co prędzej wróciłem do domu, przebrałem się i pobiegłem do pracy. Na ulicy jakby się uspokoiło, tylko dwóch pijaków fundowało przechodniom wymyślne „wiązanki”.

Dwie godziny później dowiedziałem się, że w Piątnicy samochód potrącił dziecko, raniąc je ciężko. Przyczyna: brak opieki nad małym ze strony rodziców. W drodze z pracy do domu usłyszałem, że w pobliskim kiosku kontrola ujawniła ponad 1000 paczek sprytnie ukrytych klubowych.

Tylko żarówka w sygnalizatorze dalej nie działa!

DYŻURNY DROGOWSKAZ



Dla TERESY PODLASKIEJ I STANISŁAWA SANTOCKIEGO najdramatyczniejsze były dni przed ślubem, kiedy to trzeba było wybrać materiał na garnitur i uszyć go. Życzenie pani Teresy: „By Stasia do wojska nie wzięli”, a wspólne marzenie — samodzielne mieszkanie.

3.09.1981 **TV** 9.09.1981

[illegible]

NIEDZIELA **6 WRZEŚNIA 1981 R.**

PROGRAM I

6.10. TTR — uprawa roślin, sem. I.
6.40. Hodowla zwierząt, sem. I. 7.10. TTR.
RTSS — „Wiedza nasza szansa”. 7.30.
Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00.
„Tydzień” magazyn rolniczy. 8.40.
„Telewizjania”. 9.00. Teleranek. 10.25. Pro-
gram dnia. 10.30. Antena. 11.00. „Zabytki
doliny rzeki Indus” — angielski film do-
kumentalny. 12.00. Dziennik TV. 12.45.
„Krwawe słońce” — program baletowy.
12.55. Program Redakcji Rolnej. 13.25.
„Piorkiem i węglem”. 13.55. „Przygody
Sindbada”. 14.35. TYLKO W NIEDZIELĘ

